ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK X. Nr 6 (450)

NIEDZIELA, 5 LUTEGO 1956 R.

NA SZPALTACH „OSSERVATORE ROMANO“

MISJA POLSKI KATOLICKIEJ

P. Hugh Delargy, katolik i poseł laburzysta w Izbie Gmin, był obecny w Polsce na kongresie ruchu „Pax“, który był zwołany przez tamtejszych „postępowców“, by podnieść w opinii Kraju i zagranicy ich podstępną działalność. Nie wydaje się, by tym panom udało się osiągnąć zamierzony cel, przynajmniej jeżeli chodzi o p. Delargy. Poseł laburzysta oczywiście, powróciwszy do ojczyzny, opisał swe wrażenia w „Catholic Times“.

„...Wydaje się — mówi między innymi — że kardynał Wyszyński jest osobistością bardziej wybitną, aniżeli się na ogół przypuszcza. Nie jest doprawdy tą słabą kreaturą, którą według „Paxu“ stała się narzędziem reakcji ani też prałatem kunktatorem, jakim wydawał się niektórym dziennikarzom zachodnim po podpisaniu ugody roku 1950. Jest to duch nadzwyczaj jasny o zdecydowanej woli, który zmuszony do wypowiedzenia „non possumus“ utrzymał tę postawę mimo prześladowań i gwałtów, których stał się ofiarą...“

Nasi czytelnicy zauważą, że członek parlamentu brytyjskiego nie wnosi nic nowego: pogodna i heroiczna nieugiętość kardynała Wyszyńskiego była widoczna już wtedy, gdy w maju 1953 r. oznajmił reżymowi warszawskiemu, że Kościół nie pozwoli na arbitralne wkraczanie we własną wewnętrzną jurysdykcję. Memorandum 8 maja 1953 r. po niedługim czasie doszło do publicznej wiadomości: miało ono podpisy Kardynała Prymasa i wszystkich polskich biskupów i było — czym jest i dotąd — wiernym odbiciem postawy Kościoła, prześladowanego, ale świadomego dobrze swych praw i swej potęgi moralnej. Prymas, gdyby był człowiekiem słabym, mógłby powstrzymać gniew publicznej władzy, zanim by się na niego wylał.

Nie uczynił tego: pozwolił się uwięzić i deportować a w latach swej zsyłki, mimo presji na nim wywieranych, pozostał wiernym Bogu, swej misji i sobie samemu.

Parlamentarzysta brytyjski chciał prawdopodobnie to właśnie powiedzieć, że więcej niż dwuletnia próba postawiła w pełnym świetle wielką postać kardynała Stefana Wyszyńskiego i jego nieugiętą moc. Skoro to miał na myśli, to jego podróż do Warszawy przyczyniła się do uzyskania jeszcze jednego dowodu, że Kościół Boży w republice „ludowej“ polskiej czerpie siły z wielkiego i cichego świadectwa Kardynała, a wcale nie ze zgiełku propagandowego niektórych grup, które zgodziły się służyć oprawcom ich własnych pasterzy, wbrew prawdziwemu duchowi katolickiemu.

Kardynał Stefan Wyszyński, kardynał Stepinac, kardynał Mindszenty — choć złamany na chwilę, ale nie ugięty — stają w obronie godności ludzkiej wszystkich ludzi, gnębionych i wolnych: podobnie jak bronią jej, razem z nimi, dziesiątki innych biskupów, setki księży, miliony wiernych w tak wielkiej części świata.

Wczoraj nasz dziennik ogłosił List Ojca św. skierowany do Kardynała Arcybiskupa Gniezna i Warszawy i przez niego do wszystkich katolików w Polsce.

Papież nawołuje tych swoich synów do odświeżania swych duchowych sił w wierze w Boga i w nabożeństwie maryjnym, co przez wieki było zawsze ich ostoją. Lecz zwracając się do Polski Papież wybiega myślą także do wszystkich innych, którzy dziś cierpią dla wiary: „...Smutne to położenie, mimo widocznego bezprawia, nie tylko że nie zmienia się wcale, ale zdaje się pogarszać. W tym pożałowania godnym stanie znajdują się, niestety, także i inne narody, gdzie kardynałów, biskupów i kapłanów wtrąca się do więzienia czy też zabrania się im sprawować świętą służbę, gdzie zakonników wyrzuca się z domów, gdzie rozbija się stowarzyszenia katolickie, gdzie utrudnia się wydawanie prasy katolickiej i odbiera się prawa szkołom katolickim, gdzie wreszcie w rozmaity sposób krępuje się wolność Kościoła. Wszystkich was, jako najdroższych Nam braci i synów, cierpiących niewinnie prześladowanie za prawdę i sprawiedliwość, przygarniamy do ojcowskiego serca, a sprawę waszą w kornych i nieustannych modłach polecamy Bogu, szczodremu Dawcy pociech i nagrody...“

Katolicy polscy znoszą prześladowanie już siedemnaście lat: najpierw ze strony neopogańskiego rasizmu, następnie ze strony ateizmu marksistowskiego. Już więcej niż dziesięć lat komunizm traktuje szlachetny ten naród jako pole doświadczalne dla swej taktyki prześladowczej: lud w swej ogromnej większości głęboko katolicki skrępowano więzami, które mają powoli zdusić jego wiarę i osłabić wolę.

Wspominaliśmy innymi razy, że według intencji wypowiedzianych przez komunistów, katolicyzm powinienby zniknąć razem z tymi, którzy żyją dziś według jego przykazań: marksistowski „nowy człowiek“ pogrzebie jutro zmarłych wspólnie z „przesądem“, który ich zaślepiał. Lecz zanim zginie, ten osądzony katolicyzm musi pracować dla odbudowy „socjalizmu“, czy to w Polsce, czy to w innych tak zwanych demokracjach ludowych; i w zamian za teorytyczną możliwość kultu, którą się coraz bardziej zmniejsza, musi otwierać drogę tzw. „prawdziwej prawdzie“, aprobując ją i jej przyklaskując.

Odziedziczona po przodkach nieugiętość Polaków w wierze chrześcijańskiej jest warunkiem prawdziwego rozwoju moralnego narodu. Wspomnieli o niej niedawno biskupi we wspólnym liście pasterskim ogłoszonym po konferencji częstochowskiej, celem przeciwstawienia się rozszerzającej się propagandzie bezbożniczej.

Od wierności jednak tych braci naszych, tak długo doświadczanych, zależy również, i to w niemałej mierze, przyszłość religii katolickiej we wszystkich krajach opanowanych przez komunistów. Nie będzie chyba — wierzymy — samowolą przypuścić, że Ojciec św. zwracając się do kardynała Wyszyńskiego miał również na myśli szczególną misję, którą Opatrzność powierzyła w tych latach katolikom Polski: dawać własną wiernością świadectwo temu, jak katolicyzm kroczy drogą wytyczoną mu przez Boga a strzeżoną przez Namiestnika Chrystusowego. Nic nie może nadwyrężyć tego powołania: ani prześladowanie, ani śmierć nawet, ponieważ właśnie tam, gdzie największe jest cierpienie i najbardziej przewrotna niesprawiedliwość, tam też znajduje się z pocieszającą pewnością swojej obietnicy sam Syn Człowieczy.

F. A.

*) Przekład artykułu, który ukazał się w „Osservatore Romano“ w dniu 14. I. 1956 r.

REWOLUCJA ATOMOWA

WYWIAD Z PROF. TADEUSZEM ROMEREM

„Istnieją dziś zagranicą projekty i wchodzące już w zastosowanie techniczne odkrycia, które po prostu przechodzą naszą wyobraźnię. Toteż chyba słusznie powiedziano mi w czasie jednej z ostatnich międzynarodowych konferencyj, że przełom między epoką dzisiejszą a już bliskim jutrem będzie dla ludzkości większy niż przełomy na granicy wieków średnich i Odrodzenia, albo też w okresie tzw. rewolucji przemysłowej; będzie on też bardziej nagły i gwałtowny.“

Tak zaczął prof. Tadeusz Romer z uniwersytetu McGill w Montrealu*) swą rozmowę z Robertem W. Keyserlingkiem, wydawcą i redaktorem naczelnym znanego kanadyjskiego tygodnika „The Ensign“ (Sztandar), wydawanego w Ottawie. W rozmowie tej prof. Romer podzielił się swymi wrażeniami z podróży odbytej w ubiegłym roku po kilku krajach Europy zachodniej. Podając opinie i wrażenia prof. Romera, wybitny kanadyjski dziennikarz stwierdza, że ten Polak jest jednym z najbardziej wytrawnych dyplomatów, który zdobył wielkie doświadczenie w czasie swej długoletniej pracy na placówkach w Warszawie, Paryżu, Tokio, Lizbonie, Moskwie i Londynie.

W lecie i jesieni 1955 roku bawił prof. T. Romer przez szereg tygodni w Europie, między innymi w Genewie w czasie odbywającej się tam konferencji atomowej, a następnie w Paryżu, Brukseli, Londynie i innych stolicach. Swe wrażenia odniesione z tej podróży ujmuje on następująco:

JEDNA STRONA OBRAZU

„W Europie — i to tym razem nie wyłączając Francji — uderzył mnie niezwykle wysoki poziom dobrobytu gospodarczego. Wielka Brytania, a zwłaszcza Niemcy, osiągnęły dobrobyt dostępny szerokim masom; położenie robotnika zdecydowanie się polepszyło. Francja nie mogła mocno stanąć na nogach pod względem gospodarczym bez zmniejszenia rozpiętości między kosztami życia a nie dorównującymi im zarobkami; obecnie jednak widzi się, że nawet szary człowiek żyje we Francji wcale dobrze. Pracy jest dość dla wszystkich, może nawet więcej, niż chętnych do niej rąk.

„To gospodarcze odrodzenie umożliwiła — nie twierdzę, że w pełni przyniosła — szczodrobliwość Stanów Zjednoczonych okazana w skali międzynarodowej. Paradoksalny w tym jest fakt, że jakkolwiek powszechnie się ją uznaje, to jednak równocześnie Stany Zjednoczone budzą pewną niechęć i rozdrażnienie, które graniczą z psychozą.“

Na pytanie, jak sobie należy tłumaczyć to zjawisko, prof. Romer stwierdza:

„Jest kilka powodów i to przeważnie psychologicznej natury. W dyplomacji i odbudowie gospodarczej świata przypadła Stanom Zjednoczonym rola, która niejednokrotnie przerasta doświadczenia ich przedstawicieli, a i nie tylko ich, bo i innych narodów.

„Pełni zapału i świadomi swej nowej potęgi politycznej i ekonomicznej, Amerykanie nie doceniają w pełni wrażliwości i tradycyj starszych od nich społeczeństw. Toteż czy to sposobem osobistego odnoszenia się do ludzi, czy też brakiem poszanowania dla dawnych i ustalonych właściwości narodowych działają oni drażniąco na tych ludzi, którym zresztą z najczystszych altruistycznych pobudek niosą pomoc. Wzajemne niezrozumienie punktu widzenia drugiej strony jest więc jednym powodem.

ZADZIWIAJĄCA DYSPROPORCJA

Druga przyczyna tkwi w zadziwiającej dysproporcji między zainteresowaniem przeciętnego Europejczyka sprawami gospodarczej odnowy a prawie chorobliwym brakiem zainteresowania żywotnymi politycznymi zagadnieniami. Francja jest właśnie przykładem wynikającego stąd braku stabilizacji politycznej. Ale i w Niemczech widać już oznaki nadmiernego zainteresowania sprawami gospodarczej odbudowy i rosnącym dobrobytem tego kraju. To się zaś łączy z prawie wyrozumowaną obojętnością, z jaką traktuje się przyszłość polityczną, którą człowiek ocenia jako nieprzyjemnie niepewną. A zatem usiłuje się odsuwać na bok te zasadniczej wagi sprawy, na których rozstrzygnięcie stale nalega Waszyngton. „Zostawcie nas już raz w spokoju z waszymi zimnymi i innymi wojnami, pozwólcie się nam cieszyć tym, co teraz mamy!“ — oto mniej więcej dość powszechne stanowisko tych ludzi.

Wśród nich właśnie komunistyczna propaganda znajduje gotowych sprzymierzeńców. Powoli, ale skutecznie wmawia się w przeciętnego człowieka, któremu się obecnie dobrze powodzi, iż wszystko układałoby się nadal wspaniale, gdyby tylko Waszyngton nie zachęcał wciąż do jakiejś obrony i podpisywania coraz to nowych układów. Ludzie mogliby się spokojnie zajmować swymi codziennymi sprawami nie dbając o jutro.

Europejczycy są zbyt inteligentni, by nie dostrzegali, jak zwodnicze są te syrenie głosy sowieckie, ale w świecie, w którym brak realiów politycznych, wolą oni wybierać pomyślność ekonomiczną. Jest to skutek znużenia polityką, które znów może być nerwową reakcją na przebyte cierpienia, ale jest to niebezpieczne i przywódcy europejscy widzą to, nie mogą jednak obudzić ludzi z tego politycznego letargu, zwłaszcza, że kołysze doń materialny dosyt.

To jest jednak tylko jedna strona obrazu — stwierdza prof. Romer. — Istnieje bowiem inny, ważniejszy aspekt, który miałem sposobność zaobserwować.

REWOLUCJA ATOMOWA

W Genewie brałem udział w prywatnych spotkaniach z delegatami na odbywającą się tam wtedy konferencję Energii atomowej. Było to coś zupełnie rewelacyjnego. Gdy bowiem zdamy sobie sprawę, jak daleko już zaszły obecnie badania zmierzające do zastosowania wiedzy o budowie jądra atomu do celów pokojowych, doznajemy wprost zawrotu głowy.

Wytwarzanie energii z atomu, w postaci ciepła, na skalę, która już nie długo zrewolucjonizuje możliwości produkcyjne świata, spotykało się dotychczas ze zbyt słabym podkreślaniem w publicznych dyskusjach prowadzonych w Północnej Ameryce. Największe osiągnięcia pod tym względem ma przypuszczalnie Wielka Brytania, lecz i inni nie pozostają daleko w tyle poza nią. Proszę sobie wyobrazić, co to będzie znaczyło, gdy za lat kilka, tak — już za lat kilka, węgiel, ropa, a nawet energia wodna staną się zbyteczne jako paliwa lub środki do uzyskiwania energii elektrycznej. Węgiel i ropa staną się surowcami dla wyrobu tkanin, materiałów budowlanych lub chemikalii. Węgiel zresztą będzie się przerabiać chemicznie w pokładach a nie dobywać metodami górniczymi.

Stosowanie ciepła atomowego w rolnictwie poczyniło już zadziwiające postępy na wielu polach, co znów może się przyczynić do powiększenia produkcji rolnej do rozmiarów, o jakich nawet nie śmiano marzyć. Możliwość zaś stosowania energii atomowej dla podniesienia poziomu produkcji przemysłowej i rolnej również małych producentów i w krajach ekonomicznie opóźnionych, jak Indie i Chiny oraz w Afryce, wyszła już poza stadium projektów.

SKUTKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

Lecz tutaj — stwierdza prof. Romer z troską — opuszczamy już pole możliwości technicznych i wkraczamy w dziedzinę rewolucyjnego wpływu, jaki będzie to miało na społeczne, polityczne i moralne stosunki w naszym świecie. Trzeba będzie zrewidować wszystkie nasze pojęcia oparte na problematyce wytwarzania dostatecznej ilości żywności i dóbr dla ludności całego świata. Staniemy bowiem niedługo przed zagadnieniem rozdziału, gdy produkcja światowa osiągnie niewyobrażalne rozmiary.

Jaki to będzie miało wpływ na nasze rynki, jak to dotknie miliony górników w wielu krajach, jakie będzie miało znaczenie wobec milionów zainwestowanych w dobywanie węgla i ropy naftowej i w produkcję energii elektrycznej przy pomocy energii wodnej? Jak to wpłynie na jednostkę w nowoczesnym społeczeństwie, skoro będzie ona zaopatrywana obficie w rzeczy konieczne do życia przy minimum godzin pracy i maksimum godzin wypoczynku? Jak będzie rozdzielona materialna nadwyżka obecnie płynąca w postaci płac, dywidend i dochodów z inwestowanych kapitałów? W społeczeństwie bowiem, gdzie materialne wartości opiera się na małej ilości i wysokim koszcie środków produkcji zmiany będą olbrzymie. I to również przyprawia o zawrót głowy.

DELEGACJE WATYKANU

W czasie konferencji w Genewie najbardziej uderzyła mnie nieoczekiwanie silna i pełna znaczenia pozycja, jaką posiadały delegacje watykańskie. A więc najpierw liczebność i sam skład osobowy tych delegacyj. I tak na czele delegacji na konferencję atomową stał tak wybitny uczony jak prof. Medi z Papieskiej Akademii Nauk, towarzyszyli mu zaś tacy ludzie jak np. szwajcarski dominikanin o. Henri de Riedmatten, którego kariera naukowa obejmuje studia na Angelicum i Gregorianum w Rzymie i na uniwersytetach w Oksfordzie i Fryburgu z doktoratami teologii i filozofii. Uczeni ci przedłożyli swe naukowe obserwacje, które spotkały się z najżywszym zainteresowaniem także wśród delegatów świata komunistycznego, zapewne zdziwionych, że Watykan jest tak nowoczesny a jego przedstawiciele są tak wybitni w swoich specjalnościach naukowych.

PROBLEM CZŁOWIEKA W NOWYM ŚWIECIE

Poza wynikami badań naukowych wszyscy ci uczeni mogli zaobserwować wyłaniający się znacznie głębszy problem — zagadnienie człowieka w tym nowym świecie. Każdy z nich w rozmowach prywatnych przyznawał, że techniczne odkrycia stawiają wciąż jako problem centralny właśnie człowieka, którego zarówno natura jak i cel życia się nie zmieniają. I tutaj właśnie delegaci Watykanu byli jedynymi przedstawicielami, którzy ten kardynalny problem przemyśleli do końca i którzy mieli określoną filozofię życia, w której owe wspaniałe odkrycia mają rolę atrybutów, a nie destruktywnych zmian.

W czasie tej konferencji genewskiej staraniem delegacji watykańskiej odprawiono specjalną Mszę św., na której byli obecni również protestanci, hindusi muzułmanie i inni, a nawet i komuniści wysłali swych obserwatorów. Kazanie wygłosił o. Riedmatten, podkreślając w nim życiową doniosłość doktryny Kościoła w odniesieniu do nowej rzeczywistości materialnej.

Wziąłem też udział w prywatnym zebraniu towarzyskim, na którym znowu prof. Medi przewodził swą wiedzą i filozoficznym wyrobieniem. Po swym przemówieniu odpowiadał on na liczne zapytania, a odpowiedzi tych słuchano z wielkim zaciekawieniem.

Po konferencji atomowej odbywał się w Genewie światowy kongres kryminologów i znowu na nim inna watykańska delegacja specjalistów na tym polu odniosła wielki sukces i zrobiła niemałe wrażenie swym naukowym poziomem i jasnością doktrynalnego ujęcia. Inni wnieśli wiele wiedzy, ale mieli oni trudności, gdy chodziło o wyciągnięcie konstruktywnych wniosków, brakło im bowiem jasnego poglądu na naturę i cel człowieka — nie mieli więc ani ustalonego punktu wyjścia, ani też określonego celu swych badań, a więc i owych niezmiennych wartości, które by im wskazywały drogę w ich badaniach.

Toteż najbardziej uderzającym dla mnie wrażeniem był ów zdumiewający prestiż, jakim się cieszył Watykan i jego rosnący wpływ w tej gmatwaninie niepewności, wywołanej rewolucyjnymi odkryciami naukowymi. Trudno byłoby mi weń uwierzyć, gdybym tego nie oglądał na własne oczy. Człowiek jest bowiem oszołomiony nowymi widnokręgami dopóki nie zobaczy nie tylko środków, ale także i ostatecznego celu, który kieruje jego wysiłkami.

EPOKOWE PRZEMIANY

Gdy początkowo byłem nieco zaniepokojony trudnościami politycznymi i apatią przeciętnego człowieka wobec trudności ich rozwiązywania, jak też i nieskałością rządów w wielu krajach w obliczu agresywnych planów komunistycznej dominacji — to te obawy zmalały do właściwych wymiarów, gdy stwierdziłem, jakie przemiany stoją przed całą społecznością ludzką w obliczu nowych odkryć.

Ta jasna i niezachwiana nauka Kościoła, tak nowoczesna w swych życiowych zastosowaniach w okresie rewolucyjnych zmian w naszym materialnym otoczeniu, oraz trwała moc moralnych i duchowych wartości, które jedynie mogą prowadzić człowieka pośród nowych wielkich zmian społecznych i gospodarczych, u których progu stoimy — są zaiste czymś budzącym otuchę.

* Por. ŻYCIE nr 42 z 16 .10. 1955, w rubryce Sylwetki polskiej emigracji — profesor Tadeusz Romer.

Z DZIEDZINY REKORDÓW

ZAŁĄCZNIK DO ARTYKUŁU

Poniżej zamieszczamy fragment przeglądu prasy reżymowej rozgłośni „Kraj“. Tekst ten jest jednym z bardzo licznych przykładów niskiego poziomu audycji tej rozgłośni, która ma wpływać na emigrację i namawiać ją do powrotu do rządzonej przez komunistów Polski. O poziomie tekstów tej rozgłośni pisaliśmy w numerze 2 ŻYCIA z roku bież.; fragment niżej podany jest tego artykułu ilustracją i załącznikiem.

Autor audycji cytuje rzekomo artykuł z ŻYCIA. Wystarczy porównać te cytaty z artykułem naszego pisma z dnia 4 grudnia 1955 (nr 49), aby zobaczyć, jak sobie poczyna z cytowanym tekstem reżymowy dziennikarz, ile zdań opuszcza, jak żongluje acapitami.

Ale clou stanowią wnioski, a przede wszystkim wniosek ostatni, w którym reżymowy propagandzista stwierdza, iż wydawany przez „Veritas“ tom poezji Mickiewicza być może zostanie zakazany na terenie... parafii uchodźczych!

Jakiż może być wyższy rekord nonsensu? **Red.**

E M I G R A C J A

Zastanawiając się, **czy życie kulturalne emigracji zamiera,** tygodnik londyński „ŻYCIE“ pisze:

„Walną rolę kulturalną w zachowaniu polskości gra Kościół Katolicki przez parafie, zakony polskie, szkółki parafialne. Duchownych, zakonników, a zwłaszcza zakonnic polskiego pochodzenia jest w Stanach Zjednoczonych parę dziesiątków tysięcy. Otóż parafia katolicka jest podwaliną kultury polskiej w sensie podstawowym wśród szerokich rzesz emigracyjnych.

Cóż te parafie dają emigrantowi?

Jaki taki język polski i przywiązanie do kraju ojczystego i narodowych tradycji, nie mówiąc o wychowaniu w duchu katolickim. Tysiące broszur dewocyjnych, książek do nabożeństwa, życiorysów świętych, katechizmów — to główna produkcja ośrodków parafialnych.

Niestety, nie ma do tych dostępu... dostępu żadna inna książka polska, przy czym duchowieństwo polskie w Stanach Zjednoczonych twardo broni swoich twierdz parafialnych przed jakimikolwiek postronnymi nalotami.

Można to wytłumaczyć wieloma względami. Jest to wszakże osobny problem. Podobnie dzieje się wśród polskich skupisk w Kanadzie, w Brazylii i w Argentynie a częściowo także we Francji, Belgii, Niemczech i Danii.“

— Nie jest naszym zamiarem lekceważyć znaczenia polskich ośrodków katolickich na obczyźnie i nie doceniać ich wpływu na zachowanie polskości wśród emigrantów. Niepokoi nas jednak — stwierdzone zresztą przez katolickie „ŻYCIE“ — ograniczenie tego wpływu do jakiego takiego języka polskiego i dostarczania tysięcy broszur dewocyjnych. Na pewno emigranci czytają w języku kraju zamieszkania nie tylko broszury dewocyjne.

Tak więc w obcym języku, który przez szkołę, prasę i otoczenie staje się powoli ale w sposób nieunikniony najpierw językiem macierzystym, potem już pierwszym, tym na codzień, czytają to, co ich najbardziej interesuje.

Katolickie wydawnictwo „VERITAS“ w Londynie przygotowuje tom poezji Mickiewicza. Być może, że tom ten będzie objęty również owym zakazem parafialnym.

Pamiętamy starego emigranta z noweli Sienkiewicza, który zachował język polski, czytając wyłącznie biblię... Ale to był człowiek rzeczowy, którego młodość upłynęła w kraju. Dla młodego pokolenia emigracyjnego system pustelnika... może okazać się zawodny.

POLACY NA OBSZARACH FRANCUSKIEJ KANADY

W ciągu ostatnich lat dziesięciu sytuacja emigrantów na obszarach francuskiej Kanady uległa wybitnej zmianie na lepsze. Emigranckie grupy etniczne już nie są traktowane niechętnie, a przeciwnie, już się tu z nimi liczą coraz bardziej. Kierownicze czynniki opinii francusko-kanadyjskiej nie mogą nie widzieć dodatnich rezultatów pracy emigrantów w Kanadzie, co się szczególnie uwydatnia wśród grup przybyłych po drugiej wojnie światowej. Nie mogą też nie oceniać znaczenia pozyskania sobie tych grup narodowościowych, które religią i kulturą związane są najbliżej z mieszkańcami Kanady francuskiej. Dotyczy to w dużej mierze Polaków. Rozwija się proces wzajemnego zbliżenia i zrozumienia. Ważną w tym rolę odegrały przede wszystkim władze kościelne, a poza tym działalność Fundacji Paderewskiego oraz Centrum Studiów Słowiańskich Uniwersytetu w Montrealu, a zwłaszcza jego Sekcji Polskiej. Ofiarna pomoc udzielana przez Fundusz Paderewskiego polskiej młodzieży studiującej oraz przyjazne kontakty tej Fundacji z przedstawicielami czynników rządowych, kościelnych i społecznych w Kanadzie torują drogę do wzajemnego zbliżenia i przyjaźni. Grupa polska jest uważana pod tym względem za wzór zarówno przez gospodarzy jak i przez innych emigrantów.

W ub. roku, w lecie, sfery duchowne i organizacje katolickie zainicjowały TYDZIEŃ SPOŁECZNY, poświęcony specjalnie zagadnieniom emigracji. Niedawno zaś, w dniu 2 grudnia r. ub. odbył się w Montrealu kongres pod hasłem „Edukacja dorosłych a zagadnienie integracji emigrantów". Kongres ten zorganizowany został przez Ministerstwo Obywatelstwa i Emigracji oraz przez instytucje społeczne zgrupowane w Kanadyjskim Stowarzyszeniu Kształcenia Dorosłych. Spośród wszystkich delegacji narodowościowych Polacy wykazali największą w czasie obrad aktywność. Przewodniczącym polskiej delegacji był wiceprezes Fundacji Paderewskiego i dyrektor Centrum Studium Słowiańskich prof. T. F. Domaradzki, wiceprzewodniczącym prof. T. Radwański, prezes Polsk. Stow. Katol. „Veritas" w Montrealu, zaś sekretarzem Mgr A. Jankowski, prezes Związku Studentów Slawistyki i równocześnie przedstawiciel Koła Studentów Polskich.

Uchwalono m.in. nader ważny wniosek prof. Domaradzkiego zalecający, żeby zakłady nauczania w Kanadzie na wszystkich szczeblach nauczania zapoznawały swych studentów z historią i cywilizacją krajów, z których pochodzą liczne rzesze emigranckie. Polscy delegaci wysunęli też wnioski o zapewnienie równouprawnienia dla przybyszów w zakresie wykonywania różnych zawodów i rzemiosł, studiów, ochrony prasy i t.p. Nie wszystkie te wnioski zostały uchwalone, wywołały jednak komentarze solidarności ze strony innych grup etnicznych.

Na Kongresie przemawiał Minister Obywatelstwa i Emigracji J. W. Pickersgill, podnosząc pionierskie zasługi imigrantów dla Kanady, przy czym podkreślił aktywność Polaków, którzy nie tylko swoją pracą na roli i w przemyśle przyczyniają się wybitnie do rozwoju gospodarczego Kanady, ale wzbogacają także dorobek kulturalny tego kraju w dziedzinie techniki, rękodzieła i sztuk pięknych. Wyrażając słowa uznania dla polskiego emigranta inż Gzowskiego (b. uczestnika powstania listopadowego), któremu Kanada zawdzięcza swoje mosty na rzece Niagarze i inne, minister podkreślił w zakończeniu ważną rolę, jaką w dziedzinie wkładu kulturalnego emigrantów — pełni tutaj Centrum Studiów Słowiańskich, którego najważniejszą sekcją jest sekcja polska. Dzięki tej instytucji naukowej Kanadyjczycy zapoznają się z kulturą świata słowiańskiego i mogą czerpać z jej bogactw.

OGRANICZENIA WOLNOŚCI PRASY

Międzynarodowy Instytut Prasowy ogłosił drukiem sprawozdanie o przeprowadzonych przezeń badaniach w sprawie ograniczeń wolności prasy, istniejących w wolnej części świata, nie podlegającej reżymom totalistycznym.

Ze sprawozdania tego wynika, że wśród 40 krajów, objętych badaniem, tylko 4 nie posiadają żadnych ograniczeń wolności prasy. Rządy — stwierdza sprawozdanie — nie potrzebują obecnie stosować takich metod, jak aresztowanie redaktorów, lub zamykanie drukarni. Istnieją obecnie bardziej „dyskretne" sposoby pohamowania krytycyzmu prasy, przez cofnięcie przydziału papieru, przez przekupywanie prasy drogą udzielania jej urzędowych ogłoszeń, albo przez wprowadzenie — drogą ustaw albo dekretów — przepisów, pozornie odnoszących się do innych spraw, jak np. zabezpieczenie „bezpieczeństwa państwa", albo harmonii rasowej.

Sprawozdanie wykazuje, jak często i skutecznie przepisy te stosowane są w różnych krajach, zwłaszcza w Południowej Afryce oraz wielu koloniach i byłych koloniach. Zwłaszcza w koloniach weszło po prostu w stałą praktykę zawieszanie lub cenzurowanie pism pod pretekstem, że „podżegają do niepokojów", przy czym jako usprawiedliwienie służy argument „zacofania ludności".

TADEUSZ ZIARSKI

STRZĘPY ZAPOMNIANEJ EPOPEI (3)

INNI POLACY

Cóż za przebarwną kolekcję tworzyli Wielcy Emigranci! Studiując tylko bardzo wąski odcinek ich życia i działalności, w Sakocji, głównie zaś w Edynburgu, co krok napotyka się na utalentowanego poetę, pisarza, historyka, tłumacza — wszyscy omal wywodzący się z kadr żołnierskich Powstania Listopadowego.

Weźmy na przykład naszych „starych znajomych" — o których mowa była w poprzednich częściach niniejszego cyklu. Napoleon Feliks Żaba. Trzydziestoletni wygnaniec, wybitny działacz, zakłada pismo „Polish Exile", pisze książki o treści historycznej i o polskiej literaturze, wydaje zbiór poezji. Porucznik Stanisław Iwanowski, student Uniwersytetu Wileńskiego, tworzy powieść historyczną „Caroline Malewicz" i to z jednoczesnym tekstem angielskim i francuskim.

Następca Żaby w kierownictwie Polonii w Szkocji, kapitan Leon Jabłoński, tłumaczy na angielski „Konrada Wallenroda". Przekład ukazuje się w Edynburgu w 1841 roku, prawie równocześnie z innym tłumaczeniem, dokonanym przez Anglika w Londynie.

Angielskie tłumaczenia Mickiewicza, mamy nadzieję, będą tematem osobnego szkicu, w którym przekład kapitana Jabłońskiego zajmie czołowe miejsce.

Pomyślmy tylko: ludzie Powstania Listopadowego, zawiani do Wielkiej Brytanii, borykali się z licznymi trudnościami życiowymi, wśród których wyliczmy dwie — brak znajomości języka i brak dostatecznych środków materialnych. Pokonanie pierwszej z trudności było imponujące: przykładem tego są dzieła wymienionych ż o ł n i e r z y Listopada.

Przykładem ich zmagań o codzienny byt jest obszerny artykuł w londyńskim „Morning Herald" z 1837 roku. Autor ze smutkiem i oburzeniem pisze o licznej gromadzie Polaków pracujących przy budowie linii kolejowych wzdłuż t.zw. Great Western Road. Wśród nich znajdowało się „wielu oficerów, pisarzy i ludzi arystokratycznego pochodzenia..." Z dyskrecji wymienia autor artykułu tylko ich stopnie wojskowe i pierwsze oraz końcowe litery ich nazwisk. Był więc między robotnikami pułkownik B-cz, major M-cz, litewski arystokrata S-cz, utalentowany młody poeta O-ski i wielu innych.

Dalsze badania źródeł, o których mowa będzie w ostatniej części cyklu, pozwoliły odcyfrować inicjały trzech wymienionych w artykule „Morning Herald". Pułkownikiem B-cz był Józef Berkowicz, który przebywał w Anglii z żoną Adelajdą i córką Melanią. Majorem M-cz był Stanisław Macewicz. Nie udało się odsłonić tożsamości „litewskiego arystokraty S-cz" i nie ma pewności czy „utalentowanym młodym poetą O-ski" był jeden z braci Obarskich — Kazimierz (który zmarł w październiku 1840 roku) czy Ludwik, lub też J. B. Ostrowski.

W artykule w „Morning Herald" autor dalej przytacza też autentyczną historię młodego polskiego arystokraty z Wołynia, który czekając przed biurem werbunkowym robotników kolejowych, osłabł z wycieńczenia i głodu. Życzliwe kierownictwo robót udzieliło mu pomocy i wypłaciło pełną dniówkę, ofiarowując mu dalszą opiekę. Autor podkreśla jednak pełną godności postawę i reakcję Polaka. — „Nie mogę przyjąć dalszej pomocy, gdyż tu czeka dziesiątki mych rodaków — zdrowych i silnych a pozbawionych pracy"...

Było to w czasie, kiedy The Association of Friends of Poland zamieściło w ówczesnej prasie ogłoszenie o wstrzymaniu wypłacania zasiłków dla 160 Polaków, pozbawionych zasiłków parlamentarnych. Otrzymywali oni miesięczne zasiłki z funduszu Stowarzyszenia w wysokości pięciu szylinków (początkowo więcej) i po stopniowym wygasaniu ofiarności społeczeństwa brytyjskiego, znaleźli się w krytycznej sytuacji.

W Edynburgu kapitan Leon Jabłoński — tłumacz „Konrada Wallenroda" i emisariusz księcia Adama Czartoryskiego — zwoływał publiczne zebrania, o których znajdujemy wzmianki w pismach. Odbywały się one zwyczajowo w kościele przy ulicy Bristo z udziałem miejscowego społeczeństwa. Skutki takich zebrań bywały różne, przeważnie sporadycznie zebrano pewną kwotę, pozwalającą na egzystencję najuboższych polskich wygnańców, przez dłuższy lub krótszy okres.

Poważną pomocą w apelach do ofiarności Brytyjczyków były obchody urządzane w rocznicę wybuchu powstania, w których uczestniczyły wybitne osobistości Emigracji. Tak na przykład 29 listopada 1838 roku urządzony był obchód w „Crown and Anchor Tavern" w Edynburgu, podczas którego przemawiali generał Józef Dwernicki, bohater spod Stoczka, A. Dybowski, S. Koźmian oraz Lord Dudley Stuart, poseł do Parlamentu, prezes Literary Association of the Friends of Poland i bliski przyjaciel księcia Adama.

Kilka lat wcześniej, licznie zebrani Polacy ofiarowują sekretarzowi Edinburgh Polish Association, John'owi Forbes pamiątkowy pierścień z napisem: „The Poles in Edinburgh to Mr. John Forbes 29th November 1834".

Wielcy Emigranci prowadzili również akcję uświadamiającą w formie politycznego piśmiennictwa. I w Edynburgu znajdujemy dwóch (poza oczywiście Żabą) szermierzy-dziadów i pradziadów Dmowskich czy Stypułkowskich naszego wieku. W 1842 roku J. Zabrocki wydaje w Edynburgu „A Sketch of the Prison in the Russian and Polish War". Generał hrabia Walerian Krasiński blisko dwadzieścia lat strawił na politycznym piśmiennictwie, owocem którego były liczne obszerniejsze prace i pamflety, o których krytyka brytyjska wyrażała się z wielkim uznaniem.

Walerian Krasiński, protestant, część swej działalności publicystycznej poświęcił zagadnieniom religijnym, czasem ostro krytykując Kościół Katolicki, podkreślał jednak stale istnienie chlubnej wolności religijnej w Polsce Przedrozbiorowej. Był również tłumaczem, przekładając między innymi „Dwór Zygmunta Augusta". Z prac historycznych wymienić należy „Panslawizm i Germanizm" oraz „Historię Polski", nie ukończoną, wydawaną w częściach aż do śmierci autora w 1855 r.

Poza tak szeroką akcją publicystyczną, pisarską i odczytową, ważnymi niewątpliwie wydarzeniami były występy, co prawda rzadkie — polskich muzyków. Oczywiście, najważniejszym z nich był pobyt Fryderyka Chopina, który 4 października 1848 w Hopetoun Rooms w Edynburgu, wystąpił z koncertem złożonym wyłącznie z własnych utworów. Wysoka cena biletów (dziesięć szylingów i sześć pensów w porównaniu do pięcioszylingowych zasiłków byłych powstańców!) z pewnością ograniczyła ilość polskich uczestników koncertu, na którym Chopin na progu śmierci, rozwinął cały wachlarz swoich wspaniałych kompozycji — etiudy, nokturny, walce, ballady i mazurki.

Cóż za przeżycie dla garstki pielgrzymów listopadowych, przebywających tutaj niemal tak długo jak my! Jakże musiała być dla nich wzruszająca postać gasnącego Chopina! My słuchamy obecnie tych samych utworów z klawiatur Rubinsteina czy Małcużyńskiego.

Utalentowane dwie córki Feliksa Janiewicza, mieszkającego w Edynburgu od 1815 roku, stosunkowo często występowały z recitalami, grając na harfie i dwoch fortepianach. Wnioskując z współczesnych recenzji, były one ulubienicami publiczności i — co rzadkie — recenzentów, niemniej wówczas surowych niż krytycy dzisiejsi.

Innymi byli Polacy z Wielkiej Emigracji. Nie można, co prawda, przemilczeć o ciemnych typach uchodźtwa, niestety nie brakło ich i sto lat temu. Niektórzy uchodźcy znaleźli się w więzieniach, wielu w zakładach umysłowo chorych. omówimy to przy końcu cyklu. Ale — czy wymieniona wspaniała kolekcja ludzi głoszących w piśmie, mowie i muzyce o Polsce, nie potwierdza wielokrotnie o zrozumieniu przez nich natury posłannictwa emigracji?

Czynili to z takim apostolskim optymizmem i poświęceniem, że Mistrz Adam przestrzegał ich słowami zapożyczonymi do „Ksiąg Pielgrzymstwa" z Ewangelii Świętego Mateusza:

„Nie rzucajcie pereł przed wieprze"... i dalej:

„nie wszystkim cudzoziemcom gadajcie o wielkich rzeczach, które poczynił naród Wasz dla dobra świata, bo jedni Wam nie uwierzą, a drudzy Was nie zrozumieją, aż się nawrócą".

Tadeusz Ziarski

WIECZORY AUTORSKIE

PROZA KOBIECA

„Zbiorowy wieczór autorski — prozy kobiecej" wypełnił szczelnie salę Instytutu Gen. Sikorskiego. Zespół autorek obejmował zarówno znane już publiczności nazwiska jak i nowy stawiający dopiero pierwsze kroki narybek literacki.

Z powodu nieobecności prezesa Związku Pisarzy na Obczyźnie, dra Tymona Terleckiego, zagajenia i prezentacji autorek publiczności dokonała Herminia Naglerowa.

Zofia Romanowiczowa w krótkim i doskonałym szkicu „Powrót" przedstawiła słuchaczom dramat ludzi, którzy przygnieceni koszmarem kacetowskiego życia, wracają do opuszczonego niedawno obozu, aby tam, nieufni i podejrzliwi jeszcze, oswajać się z myślą o odzyskanej wolności i zaczynającym już w nich kiełkować uczuciem o jakimś innym, odległym i odmiennym od dotychczasowego — jutrze. W nieobecności autorki czytała Tola Korian.

Teodozja Lisiewicz i Jadwiga Otwinowska do bogatej literatury o pracy niewolniczej w Sowietach dodały jeszcze dwa wspomnienia. Pierwsza — Teodozja Lisiewicz — w świetnym reportażu „Magadan" przedstawiła upiorny wprost tragizm rewii kabaretowej w łagrze w wykonaniu aresztantek. Druga — Jadwiga Otwinowska w doskonałym opowiadaniu „Wiśniowe pantofelki" dała sylwetkę kobiety, która żyjąc wspomnieniami dzieciństwa z dawnych lat świetności i powodzenia górnych 10 tysięcy carskiej Rosji, oczekuje swego końca w piekle sowieckiego zesłania.

W noweli „Katastrofa na Morzu Śródziemnym" Stefania Zahorska dała sugestywną sylwetkę człowieka, który stojąc na granicy śmierci w momencie bluźnierczego aż buntu o prawo do życia, doznaje łaski Wiary.

Z „Szerokich dróg i wąskich ścieżek" Zofia Zalewska zaprezentowała zebranym fragment pt. „Rzym i Asyż" będący na pół reportażem a na pół impresjonistycznymi notatkami wrażeń z podróży ujętymi w doskonałym gawędziarskim tonie i stylu. Czytała Teodozja Lisiewicz.

„Człowiek znika bez śladu" — oto tytuł bardzo oryginalnego ujęcia, jaki dała Herminia Naglerowa swojemu wspomnieniu o autorce „Kryjaków" — Marii Wielopolskie, tej bezkompromisowej publicystce i świetnej powieściopisarce zaginionej bez wieści w ostatniej wojnie.

K. S.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Dla uczczenia Papieża. W związku z 80 rocznicą urodzin Ojca św., przypadającą 2 marca, chrześcijańskie stowarzyszenia robotników włoskich organizują wielką narodową subskrypcję w celu wybudowania w Rzymie kościoła pod wezw. Chrystusa Robotnika.

Dekret o heroiczności cnót Sługi Bożego Innocentego XI. „Osservatore Romano" ogłosiło dekret sw. Kongregacji Rytow, ktorym Ojciec sw. ogłasza, ze papież Innocenty IX posiadał cnoty teologiczne i kardynalne w stopniu heroicznym. Gdy zostaną jeszcze stwierdzone cuda uzyskane za wstawiennictwem Sługi Bożego, Stolica Apostolska przystąpi do beatyfikacji Innocentego XI, ktory rządził Kościołem w latach 1676-1689. Jako papież wielce przyczynił się do szerzenia wiary, do zwalczania herezji i niebezpieczeństw zagrażających dobrym obyczajom, do pojednania chrześcijańskich panujących, by wspolnymi siłami walczyli przeciwko Turkom, co doprowadziło do odsieczy i zwycięstwa pod Wiedniem w roku 1683. Sława świętości Innocentego XI, ktorą cieszył się już za życia, doprowadziła do tego, że w niecałe dwa lata po jego śmierci rozpoczęto już badania kanoniczne w Rzymie, a w 1714 r. Klemens XI podpisał dekret o wprowadzeniu sprawy beatyfikacyjnej. Różne przyczyny złożyły się na to, że sprawa beatyfikacji tak się przewlekła. Na chwałę naszego Episkopatu należy zapisać, że po odzyskaniu niepodległości Polski, wniósł prośbę do Stolicy Apostolskiej o beatyfikację wielkiego papieża. Warto zaznaczyć, że nie jest prawdą, jakoby Innocenty XI nie doceniał znaczenia odsieczy Sobieskiego: o czymś wręcz przeciwnym świadczą listy papieża do zwycięskiego króla, co dokumentarnie stwierdza znana monumentalna „Geschichte der Päpste" katolickiego historyka austriackiego Pastora, wydana także w tłumaczeniu na język angielski.

60-lecie Sodalicji św. Piotra Klawera. Założona przez Polkę, Marię Teresę Ledóchowską, w 1895 r. Sodalicja św. Piotra Klawera, znanego apostoła wśród Murzynów, wspiera misje afrykańskie różnoraką działalnością, m in. wydawaniem książek i pism katolickich. W ciągu 60 lat istnienia Sodalicja wysłała do Afryki ponad 3 miliony książek wydrukowanych w 175 dialektach afrykańskich.

Gandhi o środkach do celu. W związku z mową Bułganina w Indiach „Economic Review", organ oficjalny Komitetu Panindyjskiego Kongresu w artykule o Indiach i Unii Sowieckiej pisze: „Nie trzeba mówić, że jest zasadnicza różnica między filozofią Gandhiego a Lenina. Pierwszy, zgodnie ze starymi tradycjami Indyj, zawsze mocno wierzył, że środki są również ważne jak cel i że złe środki pomniejszają szlachetność celu zamierzonego, podczas gdy Marks i Lenin są zupełnie przeciwnego zdania.".

TADEUSZ FELSZTYN

ROLA MATEMATYKI W NAUKACH PRZYRODNICZYCH

(2)

Po drugie, konsekwencje obecnej fizyki, podobnie jak np. i wyniki nowoczesnej astronomii, czy też biologii, stoją w jaskrawej sprzeczności z tezami materializmu dialektycznego. A przecież materializm dialektyczny uważa, że jest (jak twierdził Engels) „pojmowaniem przyrody taką, jaką ona jest w rzeczywistości, bez żadnych postronnych dodatków". I tu materialiści dialektyczni znaleźli się w potrzasku. Oto z jednej strony logiczne konsekwencje nauk przyrodniczych, a więc rzekomej podstawy ich tez, stoją w sprzeczności z tymi właśnie tezami, z drugiej zaś — odejście od tego, co ongiś głosił Engels, czy też Lenin, byłoby dla nich niedopuszczalną herezją. Na gruncie logiki nie ma wyjścia z tej antynomii. Wobec tego materialiści dialektyczni odrzucają logikę i na jej miejsce wprowadzają „dialektykę", tj. „naukową" metodę wywijania koziołków myślowych i przyjmowania z rozumowania logicznego tych tylko członów i wniosków, które nam dogadzają, a odrzucania tych, które są nam niedogodne.

Przykładem typowym tej metody może być artykuł **Ernesta Kolmana „Bałwochwalstwo matematyzacji".** (A) Napisany niemożliwym do strawienia żargonem komunistycznym, miesza on politykę z nauką, płaski dowcip z argumentem naukowym, a Boga pisze przez małe „b". W wielu miejscach wyzwisko zastępuje argument („bagno idealizmu" — str. 35, „pełne nienawiści do człowieka wywody" — str. 37, „szeregowy mister Tompkins" — str. 44, „machistowska książka" — str. 55 itp.). Niekiedy nawet autor wymyślając Amerykanom, mimo woli samobiczuje komunizm („przekształca człowieka, czyniąc z niego jedynie numer bądź przy taśmie, bądź w koszarach, bądź też... w obozie koncentracyjnym" — str. 48). Zgodnie z dialektyczną metodą artykuł ten jest pełen słusznych twierdzeń i fałszych z nich wiosków, pomieszanych z twierdzeniami, jak najbardziej mylnymi i gołosłownymi.

Teza jego zasadnicza, że matematyka nie obejmuje i objąć nie może całej różnorodności zjawisk przyrody (str. 63) jest, jak to wyżej omawialiśmy, bezprzecznie tezą słuszną. Z punktu widzenia materialistycznego jednak jest ona niewątpliwie niekonsekwentna i logicznie sprzeczna z materialistycznym pojmowaniem przyrody. Jakież wyjście znajduje z tej antynomii Kolman? Otóż po prostu, przyjmując założenia matematyczne pewnego działu nauki, odrzuca wynikające z nich wnioski wszędzie tam, gdzie nie dogadzają one tezom materializmu dialektycznego.

I tak np. uznaje on, że w „osiągnięciach biofizyki zasadniczą rolę odgrywała możliwość mierzenia pewnych wielkości i ustalania między nimi stosunków ilościowych" (str. 36). Równocześnie jednak odrzuca wynikającą z tych stosunków liczbowych teorię Mendla (str. 49).

Podobnie przyjmuje on za prawdziwe założenia fizyki atomowej i wyniki obserwacji astronomicznych, a równocześnie wyśmiewa, bez jakichkolwiek argumentów naukowych (poza mało przekonywującym wyzwiskiem „bagna ideowego"), oparte na nich teorie kosmologiczne Bondiego i Golda (str. 42) czy też Gamowa (str. 44), czyniąc to tylko dlatego, że stoją one w sprzeczności z dogmatami materializmu dialektycznego.

Oczywiście, każdy przyrodnik zdaje sobie sprawę z tego, że pewna teoria matematyczno-fizyczna, którą przez długi czas obserwacje potwierdzały, może — w dalszym rozwoju nauki — okazać się mylną. Jedynym jednak istotnie naukowym kryterium słuszności pewnej teorii matematyczno-fizycznej, jest pytanie, czy wynikające z niej wnioski pokrywają się liczbowo (w granicach ustalonej przez teorię dokładności) z pomiarami. Z chwilą, gdy zaistnieje sprzeczność między liczbowymi wynikami teorii a wynikiem pomiarów, należy szukać nowych założeń, nowej teorii, nie wolno jednak utrzymać założeń i po prostu odrzucać wynikające z nich logiczne konsekwencje. Tym bardziej zaś nie wolno, tak długo jak długo obserwacje potwierdzają założenia, odrzucać wniosków, wynikających z tych założeń — tylko dlatego, że mi one nie dogadzają. A tak właśnie postępuje Kolman we wspomnianym wyżej wypadku teorii Morgana twierdząc, że prawo Mendla reprezentuje „szczególną właściwość rzeczywistości", nie jest jednak „prawem dziedziczności", gdyż „jedynie ilościowo opisuje zewnętrzny wynik procesu" (str. 53), a nie jego wewnętrzny mechanizm. Co jednak znaczą słowa „zewnętrzny" i „wewnętrzny", tego Kolman, zgodnie z metodami dialektyki materialistycznej, nie wyjaśnia.

Podobnie przedstawia się sprawa hipotez naukowych, łączących ze sobą pewien zbiór faktów przy pomocy założeń nie dających się sprawdzić doświadczeniem lub obserwacją, a więc np. hipotez kosmologicznych, czy też hipotez o pochodzeniu życia na ziemi, o pochodzeniu człowieka, a nawet hipotez ewolucyjnych. Prawidłowym logicznie podejściem jest tu traktowanie tych wszystkich hipotez na równi, uważając je jedynie jako pewne tymczasowe wyjaśnienia danego obszaru zjawisk, jako podstawę do dalszych dociekań tym lepszą, im więcej tłumaczy ona faktów i im bardziej jej założenia są zgodne z wnioskami z innych dziedzin nauki.

Nie można jednak, jak to czyni Kolman, odrzucać niedogodne mu hipotezy kosmologiczne jako „nienaukowe", a równocześnie głosić, że np. teoria Oparina o powstaniu życia, pełna niedomówień, wątpliwości, a nawet jaskrawych sprzeczności z wynikami fizyki i chemii jest, jak głosi materializm dialektyczny, niezbitą teorią naukową.

Nie dziw więc, że przy tego rodzaju metodzie logicznej Kolman z pogardą odrzuca logistyczne prace Russella, Wittgensteina, Tarskiego i innych (a w tym i całą polską szkołę logistyczną, która tak znakomicie krzewiła się na polskich uniwersytetach przed wojną).

Charakterystyczny jest również jego stosunek do statystyki. Gdy czyta się jego wywody, że mendelizmu nie można udowodnić matematycznie (str. 49) to wydaje się, jakoby odrzucał on zupełnie statystyczną metodę badania przyrody. Wedle niego, mianowicie fakt, iż statystyka daje wynik „dopuszczalny w granicach dopuszczalnego błędu" nie jest bynajmniej dowodem słuszności hipotezy. Aby wykazać rzekomą słabość metody statystycznej, Kolman podaje (str. 49-50) przykład krzyżowania rośliny o łodygach długich i łodygach krótkich, wykazujący w pierwszym pokoleniu zgodność z prawem Mendla w granicah dopuszczalnych odchyleń statystycznych. Otóż Kolman kwestionuje ten wniosek. Wedle niego podział materiału na cechy „wysoki" i „niski" jest tak nieokreślony, że wszystko zależy od tego, „gdzie ustalimy granicę między wysokimi i niskimi łodygami". Warto może tutaj dodać, że wywody swe autor oparł na celowo dobranym przykładzie, gdzie dana wielkość (wysokość łodygi) może się zmieniać w sposób ciągły. Gdyby bowiem był on wziął przykład właściwości nieciągłej, np. barwy kwiatu, to cały jego „wywód" straciłby wszelkie podstawy. Należy również podkreślić, że Kolman ignoruje (bo trudno przypuszczać, aby piszący o nowoczesnych metodach logiki autor ich nie znał) nowoczesne metody statystyczne, które dają **obiektywne** kryteria, czy badane zjawisko jest jednorodne, czy też wielorodne i pozwalają zupełnie obiektywnie, niezależnie od „doboru" badacza, oznaczyć najprawdopodobniejsze częstości występowania poszczególnych cech. A zarzut, że potwierdzenie pewnej hipotezy „w granicach dopuszczalnego błędu" nie jest jeszcze argumentem na jej korzyść, obraca się przeciw **każdej** teorii fizycznej, skoro **żadnego** pomiaru nie można przeprowadzić bez błędu pomiarowego. A tym samym — gdyby przyjąć stanowisko autora — wszelkie doświadczalne potwierdzenie teorii byłoby w ogóle niemożliwe. Podobnie negatywne stanowisko w stosunku do statystyki zajmuje autor, pisząc, że „statystyka zastosowana do zjawisk społecznych w wypadku, gdy kieruje nią fałszywa teoria ekonomiczna, daje wyniki antynaukowe" (czytaj „sprzeczne z materializmem dialektycznym") (str. 56).

Otóż jasną jest rzeczą, że statystyka, jak i każda inna teoria matematyczna, **musi** dać wyniki fałszywe, to znaczy sprzeczne z faktami, jeśli u jej podłoża nie leży właściwa analiza badanego statystycznie zjawiska. Jeśli ktoś wrzuci do jednego kotła kozy i wielbłądy, lub — gorzej jeszcze — podzieli zwierzęta domowe wedle ich maści, a nie gatunku, to oczywiście wynik takiej statystyki będzie znacznie odbiegał od rzeczywistości, jaką stara się opisać. Można więc i należy odrzucić każdą statystykę, której elementy nie są jednorodne, lub która oparła się na mylnej klasyfikacji zjawisk. Z chwilą jednak, gdy podstawowe założenia pewnej statystyki są zgodne ze zjawiskami, jakie ona bada, odrzucać statystykę jedynie dlatego, że wyniki jej są sprzeczne z jakąś aprioryczną teorią, jest na pewno krokiem nienaukowym.

Z drugiej jednak strony autor twierdzi, że „pod kontrolą poprawnie stosowanej marksistowskiej teorii ekonomicznej statystyka matematyczna stanowi potężny środek badania" (str. 52).

I tu dochodzimy do sedna wywodów Kolmana. Z punktu widzenia epistemologii podstawowym kryterium słuszności nowoczesnej metody matematycznych teoryj przyrodniczych jest pytanie, czy wnioski logiczne, wynikające z danej teorii, są zgodne z **faktami**, czy też nie. Jaką drogą do tych teoryj się dochodzi, jest rzeczą obojętną. Jeśli np. Einstein w swej wierze w prostotę podstawowych praw przyrody uważał, że teoria matematycznie prostsza musi być teorią słuszną, to oczywiście w niczym nie zmieniło faktu, że potwierdzenie jej słuszności było nie wynikiem tego, co Einstein o tej teorii myślał, ale co powiedziały doświadczenia. Jeśli Eddington, idąc krok dalej, starał się wyprowadzić podstawowe wielkości przyrody z teorii matematycznej, to wyniki jego rozważań musiały być odrzucone nie dlatego, że metoda jego była zła, ale dlatego, że doświadczenie ich nie potwierdziło.

Tej podstawowej zasady nowoczesnej fizyki Kolman albo nie rozumie, albo udaje, że nie rozumie. W swej gorliwości, aby podważyć zasadę matematyzacji przyrody tam, gdzie nie dogadza ona materializmowi dialektycznemu, na wielu stronach swego artykułu wyszydza on metodę Eddingtona i inne jej pokrewne, nazywając je „fabrykowaniem wszechświata" (str. 39).

(Ciąg dalszy nastąpi)

ŻYCIE LITERACKIE

CZY PISARZOM WOLNO UŻYWAĆ NAZWISK ISTNIEJĄCYCH LUDZI?

We Francji wybuchła niezwykła afera literacko-sądownicza, jeśli się tak wolno wyrazić. Oto trybunał cywilny departamentu Sekwany, skazał na wysokie odszkodowanie: 500 tysięcy franków, czyli 500 funtów, pisarza Jean Dutourda, za to, że bohaterowi swej powieści „Au Bon Beurre" dał nazwisko Duglandier de la Bastie. Pierwsza część tego nazwiska została zmyślona przez autora, druga była raz już użyta przez Balzaka w jego powieści „Modeste Mignon". W tym wypadku nie chodzi jednak o Balzaka; to samo nazwisko nosi p. Royer de la Bastie, który do niedawna pełnił służbę wojskową w Indochinach, obecnie zaś jest dowódcą 28 pułku strzelców w Annecy. Bohater powieści Dutourda jest oficerem, który dostał się do niewoli i odmawia prób ucieczki, pragnie bowiem spokojnie przygotować się do „Ecole de Guerre". Natomiast żyjący naprawdę, a nie tylko w wyobraźni pisarskiej Royer de la Bastie 7 razy próbował uciec z obozu jenieckiego. Uczul się on dotknięty, znalazłszy w powieści Dutourda swoje nazwisko, dane postaci o charakterze ujemnym, przeżywającej poza tym podobne okoliczności, i wniósł skargę do sądu, który istotnie skazał Dutourda.

Przeciwko decyzji sądu rozpętała się mała burza. Związek Literatów (Société des Gens de Lettres) powziął rezolucję, oświadczającą, że „prostestuje formalnie przeciw takiemu wyrokowi, który, gdyby nabrał charakteru praktyki prawnej, zdałby pisarzy dobrej wiary na łaskę wszystkich zakwestionowań tego samego rodzaju i spowodowałby wielkie przeszkody w twórczości literackiej".

Tygodnik „Figaro Litteraire" przeprowadził na ten temat ankietę wśród pisarzy, wszyscy zapytywani podobnie wypowiedzieli się przeciw decyzji sądu. Jacques de Lacretelle oświadczył, że w razie wejścia tej decyzji w życie, pisarze będą w przyszłości zmuszeni ograniczać się do używania na określenie swych bohaterów inicjałów A. B. C. Lacretelle przypomina, że jeden z felietonistów XIX wieku po analogicznej sprawie (bo obecna nie jest pierwszą tego rodzaju) oświadczył, że odtąd będzie nadawał swym bohaterom nazwiska ludzi skazanych na śmierć.

Sprawa idzie do sądu apelacyjnego i zobaczymy, czyje argumenty przeważą. Zaznaczyć należy, że adwokat strony skarżącej w pierwszym procesie zakończył swe przemówienie oświadczeniem, że klient jego zadowoli się skazaniem pisarza na „symbolicznego franka". Sąd jednak zdecydował, jak już stwierdziliśmy, że odszkodowanie to ma wynosić pół miliona franków.

NOWE KSIĄŻKI

„TCHÓRZ"

Powieść, a raczej zarys powieści sensacyjnej Jabłońskiego*) na pewno nie jest sensacją literacką. Autor przedmowy oddał autorowi książki wątpliwą przysługę doszukując się w „Tchórzu" wpływów Grahama Greene'a i Simenona. No bo ktokolwiek czytał tamtych autorów, mimo woli będzie porównywał. A takie porównanie jest dla naszego „dreszczowca" naprawdę niebezpieczne.

Ogromny, żywiołowy talent Greene'a, to może przede wszystkim jego łatwość wywoływania napięcia dramatycznego między ludźmi, o których pisze i w nich samych. Nie przygody, czasem fantastyczne, a czasem wręcz banalne, ale miotanie się serc ludzkich jest prawdziwym wątkiem tych fascynujących powieści. Georges Simenon zaś, to niezrównany kompozytor atmosfery miejsc — miast zwłaszcza — i środowisk, bystry obserwator i psycholog.

W powieści Jabłońskiego nie ma ani atmosfery, ani spięcia ludzkich pasji, ani nawet jakiejś zaczepiającej czytelnika tajemnicy (bo 5 tajemnic na 127 stronach rozprasza tylko uwagę, jak mnogość partii politycznych głosy wyborców). Brak też tej, mimo wszystko niezbędnej w beletrystyce, właściwej dozy prawdopodobieństwa.

Jesteśmy za to obsłużeni ogromną ilością pogmatwań, a także drugo i trzeciorzędnych postaci — nieraz dobrze narysowanych — przy zupełnym zamazaniu sylwetek pierwszoplanowych.

Czegóż w tej powieści nie ma?

Bo jest i morderstwo na Soho, przy czym „krew dziwnie kontrastuje z zielonym linoleum"...

I prostytutka z blizną w kształcie krzyża na policzku (żyletką, proszę Państwa). Już kilkanaście stron dalej odnajdujemy ją w kostnicy dokąd wyekspediował ją bardzo czarny charakter pochodzenia rosyjskiego, który działa pod pseudonimem „Święty Piotr".

I przypięta na psychologicznej agrafce historia nieudanej dezercji — samolotem! — z francuskiej Legii Cudzoziemskiej...

I naprawdę nie nowa, szpiegowska bajka o dwóch mikrofilmach, z których jeden jest prawdziwy, a drugi fałszywy, albo odwrotnie...

I półczarny charakter, który przed wojną był białoruskim fornalem analfabetą, a obecnie awansował na stanowisko radcy wrogiej ambasady. (Przepraszam, właśnie uległ czystce, po dłuższym świeceniu mu w oczy reflektorem)...

I nieunikniona Kobieta, która zabija swego kochanka, a czyni to nie dlatego, że wyżej wymieniony dopiero co zastrzelił jej męża, ale dlatego, że zdradzał ją z jej córką...

I ogromnie szczegółowy, ale bardzo używany opis rozbierania się owej córki przed wejściem do wanny...

I... Ale nie będę opowiadał wszystkiego, żeby nie psuć przyjemności amatorom polskich dreszczy. Mniejsza więc już o to, co tam napisano. Gorzej, że trzeba jeszcze kilka słów wspomnieć o tym jak to napisano (znowu wzorem przedmowy pt. „Czytajcie jak napisano").

Otóż ulepione to jest bardzo niedbale i nierówno. Dlatego na początku nazwałem książkę zarysem powieści. Polszczyzna, miejscami żywa i nowoczesna, gdzie indziej przypomina złe tłumaczenie z jakiegoś obcego języka. Trudno połapać się gdzie kończy się niechlujstwo, a gdzie zaczyna maniera („...krew leży na moim sumieniu"... „Obrzucano ich confetti i serdecznymi życzeniami..."). Trudna do zniesienia jest też umyślna wulgarność niektórych scen i dialogów. Niezgodne polskie małżeństwo, które miało wprowadzić nutę komiczną do całej ponurej raczej historii, gdzie żona zwraca się do męża raz per „draniu" raz per „durniu", razi nawet w takim polskim Londynie, jakim go autor widzi. Oszczędzę tu Czytelnikom przytaczania pustynnych rozmówek cudzoziemskich legionistów. Chciałbym jeszcze tylko wiedzieć, dlaczego polscy marynarze z czasów wojny obmalowani są w powieści jako dzicz integralna, a tego z nich, który nie chciał wziąć czynnego udziału w rozbijaniu głów „kanadyjcom" przy pomocy fragmentów żelaznych sztachet, mianowano tytułowym tchórzem.

Nie, stanowczo nie mogę „obsypać autora serdecznymi komplementami". Bo to, co i jak napisał, to jest dogadzanie najlichszym gustom czytelników.

I.P.

*) Zygmunt M. Jabłoński: TCHÓRZ. Powieść. Gryf, Londyn 1955. Str. 127.

LIST Z NIEMIEC

ZDARZENIA OSTATNIEGO MIESIĄCA

NIEMCY Z POLSKI WRACAJĄ DO NIEMIEC

W wyniku porozumienia zawartego w grudniu 1955 r. pomiędzy polskim i zachodnio - niemieckim Czerwonym Krzyżem przybyło w dniu 5 stycznia br. 208 Niemców do zachodnich Niemiec. Niemcy ci pochodzą przeważnie z obszaru Wałbrzycha i Wrocławia. Według wyżej wspomnianej umowy w sprawie repatriacji z Polski, powracać ma miesięcznie około 800 do 1000 Niemców. Chodzi w tym wypadku o Niemców, nie posiadających obywatelstwa polskiego, których bliskie rodziny mieszkają w zachodnich Niemczech, rodziny, z którymi rozdzieleni zostali w ostatniej fazie wojny, w czasie ewakuacji obszarów zajmowanych wówczas przez wojska rosyjskie.

Według twierdzeń niemieckich znajduje się w Polsce na obszarze Ziem Odzyskanych nadal około 800 tysięcy Niemców. Jest to oczywiście cyfra nieścisła, powstała widocznie stąd, że usiłuje się do kategorii Niemców zaliczyć polską ludność autochtonną, zamieszkującą Śląsk Opolski, względnie inne obszary dawnych wschodnich prowincji niemieckich, a która posiadała przed wojną obywatelstwo niemieckie. To samo źródło niemieckie przyznaje jednak, że jedynie 175 tysięcy spośród tych 800 tysięcy postawiło wniosek o przesiedlenie do Niemiec, przy czym informator niemiecki (na łamach „Die Welt") powątpiewa, by rząd polski do wszystkich tych wniosków się przychylił. Według źródeł warszawskich — liczba Niemców w całej Polsce nie przekracza 150.000. Tej liczbie przyznano status „równouprawnionej niemieckiej mniejszości językowej". Partia wydaje dla tych Niemców we Wrocławiu pismo niemieckie pt. „Die Arbeiterstimme".

ARMIA I REFORMA SOCJALNA

Po sfinalizowaniu zasadniczych prac, związanych z wchłonięciem Niemiec zachodnich przez Unię Zachodnio-Europejską i NATO, poczynają się koncentrować główne uwagi rządu zachodnio-niemieckiego dookoła spraw wewnętrznych. Jak wynika z przemówienia noworocznego kanclerza Adenauera, przedmiot głównych prac parlamentu i rządu bonskiego stanowić będą w roku 1956 rozbudowa armii zachodnio-niemieckiej i gruntowna reforma społeczna oraz przygotowanie nowej ordynacji wyborczej.

W dniu 2 stycznia rozpoczęło się w uroczym miasteczku nadreńskim Andernach szkolenie pierwszych ochotników nowego Wehrmachtu niemieckiego. Chodzi w tym wypadku o formacje kadrowe, które po szybkim przeszkoleniu stanowić mają zaczątek nowego, młodego korpusu oficerskiego i podoficerskiego. W tym samym dniu udało się kilkudziesięciu dawnych oficerów niemieckich, wybranych przez ad hoc powołaną parlamentarną komisję kwalifikacyjną, do Ameryki w celu otrzymania przeszkolenia w amerykańskich szkołach oficerskich. Pierwsze wiadomości nadchodzące z Andernach, piętnujące mało obywatelski stosunek oficerów do żołnierzy — budzić poczynają poważne obawy co do ducha przyszłej armii, mającej — według wytycznych komisji organizacyjnej — być wojskiem wolnych obywateli a nie naśladownictwem dawnych formacji pruskich.

Rok bieżący przyniesie niewątpliwie gruntowną reorganizację całego niemieckiego ustroju socjalnego, wymagającego jednolitej kodyfikacji i sprawiedliwego rozdziału świadczeń i korzyści społecznych. Reforma ta jest podyktowana wzrastającym dobrobytem, z którego korzystać winni wszyscy obywatele, a w pierwszym rzędzie ludzie pracy, oraz świadomością tworzenia w ten sposób najskuteczniejszego wału ochronnego przeciwko infiltracji wpływów komunistycznych. Nie bez znaczenia dla wysunięcia tego problemu na pierwsze miejsce niemieckich prac rządowych w roku 1956 — jest jednak fakt, że w roku następnym odbędą się wybory do Bundestagu w Bonn. Rząd i opozycja mobilizuje się powoli do walki wyborczej.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE DIECEZJI BERLIŃSKIEJ

Diecezja berlińska jest jedną z najmłodszych diecezji niemieckich. Dopiero w roku 1930 nastąpiło — na skutek zawartego pomiędzy Watykanem a Prusami konkordatu — wydzielenie obszaru Berlina i Brandenburgii z przyległościami z dotychczasowej diecezji wrocławskiej. W dniu 19 sierpnia 1930 roku ustanowiła Stolica Apostolska biskupstwo Berlina, mianując jednocześnie ks. dr. Christiana Schreibera pierwszym biskupem katolickim w dawnej stolicy Niemiec. W dniu 1 stycznia br. minęło 25 lat od mianowania pierwszych kanoników kapitularnych w osobach proboszcza tumskiego ks. Paula Webera i ks. prałata dr. G. Banascha. Obaj kanonicy pochodzą z Górnego Śląska, jak zresztą wielu starszych duszpasterzy diecezji berlińskiej. Wśród księży tych znajdują się i Polacy. Do najwybitniejszych spośród nich należy ks. radca Melchior Grossek, pochodzący spod Bralina na Dolnym Śląsku, niestrudzony opiekun Polonii berlińskiej. Ks. radca Grossek jest od lat proboszczem parafii św. Rodziny w Berlinie (na przedmieściu Lichterfelde). Diecezja berlińska rozciąga się prawie w całości (za wyjątkiem obszaru zachodniego Berlina) na terenach sowieckiej strefy okupacyjnej i zmuszona jest przeto pracować w szczególnie ciężkich warunkach, zbliżonych pod niejednym względem do warunków w Polsce.

✱

List Papieża do Biskupów Polskich był przedmiotem wzmianek, częściowo nawet obszernych komentarzy w prawie całej prasie zachodnich Niemiec i Berlina. „Petrusblatt", tygodnik diecezji berlińskiej poświęcił w numerze z dnia 15 stycznia tematowi temu obszerny artykuł p.t. „Gift gegen Wahrheit" (trucizna przeciwko prawdzie). W artykule tym wspomina autor m.in. o uroczystości w polskim Collegium w Rzymie, w czasie której arcybiskup Gawlina, opiekun Polaków na wychodźstwie, odczytał list Papieża. Szczególnie ciepłe słowa poświęcone zostały we wspomnianym artykule uwięzionemu Kardynałowi Wyszyńskiemu.

✱

O nawiązanie stosunków dyplomatycznych Bonn z Polską zabiegają niektóre koła przemysłu zachodnio-niemieckiego. W tym samym duchu wypowiedział się dr Heinrich Weitz, prezydent niemieckiego Czerwonego Krzyża, który bawił przed kilkoma tygodniami w Warszawie w sprawie powrotu Niemców, pozostałych w Polsce. Akcja dra Weitza w sprawie stosunków dyplomatycznych z Polską spotkała się z zastrzeżeniami bonskiego Auswartiges Amt. Mówi się, że dr Adenauer jest stanowczym przeciwnikiem nawiązania stosunków z satelitami.

✱

Armia wschodnio-niemiecka. W zachodnich Niemczech nastąpiło dopiero teraz powołanie pierwszych kilkuset ochotników do powstającego, nowego Wehrmachtu niemieckiego. Na terenie wschodnich Niemiec istnieje już armia, licząca kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, zamaskowanych pod nazwą skoszarowanej policji ludowej. W ubiegłą niedzielę, w dniu 15 b.m. odbyła się we wschodnim Berlinie wielka manifestacja z okazji rocznicy śmierci Liebknechta i Rozy Luksemburg. W manifestacji tej wzięły udział liczne oddziały nowocześnie i na wzór rosyjski uzbrojonej policji skoszarowanej. Po raz pierwszy wystąpiły także nowoutworzone formacje bojowe poszczególnych zakładów pracy (Betriebs-Kampfgruppen) w liczbie kilkunastu tysięcy, mające bronić „zdobyczy socjalnych państwa robotniczo-chłopskiego".

S. C.

JESZCZE O ARTYKUŁACH GREENE'A

W „Sunday Times" z dnia 22 stycznia członek Izby Gmin, kpt. Henry Kerby, odpowiada listem na niektóre twierdzenia Grahama Greene'a, zawarte w jego drugim artykule o wrażeniach, jakie wyniósł z Polski. Poseł Kerby stwierdza, że był on nieco zaskoczony „osobliwymi poglądami" Greene'a, a w szczególności jego tezą o przeciwpolskiemu jakoby stanowisku Watykanu.

„Nie jestem katolikiem — pisze Kerby — ale jestem przekonany, że Kościół katolicki jest dziś jednym z głównych bastionów przeciw obcej, bezbożnej wierze komunistycznej, która przemocą narzucona została temu umęczonemu narodowi."

Poseł Kerby zajmuje stanowisko wręcz odmienne w sprawie skrytykowanego przez Greene'a uznawania przez Watykan „emigracyjnego ambasadora". „Wydaje mi się — pisze że uznanie takie, przyznane odważnie i co do którego, nawiasem powiedziawszy, Watykan nie jest odsobniony, jest najbardziej jasnym dowodem pragnienia Watykanu stałego podtrzymywania duchowej siły i wspaniałej odwagi narodu polskiego. Uznanie to bowiem podkreśla fakt, że obecny reżym komunistyczny w Polsce jest wytworem gwałtu i zdrady".

„Ja także — kończy kpt. Kerby — zdolny jestem widzieć starszą panią z wyobraźni p. Greene'a. Czy może tak jest, że n a d a l marzy ona o wolności? Wolność ta, z jej wolnymi wyborami, daje tej pani, a wraz z nią milionom Polaków, jedyną możliwość zdecydowania o przyszłości ich spustoszonego kraju".

Najpoważniejszy angielski tygodnik katolicki „The Tablet" (z dnia 21 stycznia) w uwagach redakcyjnych również zajmuje się artykułami Greene'a, stwierdzając, że jako całość są one znakomite, ale w jednym czy dwóch miejscach wymagają komentarza.

„Czytelnik, który wie, co zdziałano w Polsce przed rokiem 1939 — pisze „Tablet" — ma wrażenie, że p. Graham Greene być może nie docenia osiągnięć społecznych tego okresu. Dzisiejsi gospodarze komunistyczni nie mają naturalnie żadnego interesu w oddaniu sprawiedliwości poprzednikom. Gdy p. Graham Greene robi raczej zamaszyste uogólnienia, jakoby nikt w Polsce nie pragnął z powrotem rządu emigracyjnego, słowo „emigracyjny" ma specjalne tonacje z czasów Rewolucji Francuskiej czy Rosji carskiej, które robią z niego wyraz szczególnie nie odpowiedni dla określenia przywódców polskich stronnictw politycznych: Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego, socjalistów — stanowiących rząd na wygnaniu, a teraz być może jeszcze ważniejszą polską Radę Jedności Narodowej w Londynie. Łącznie reprezentowali oni politycznie Polskę, zanim weszła armia czerwona, i gdyby jutro były wolne wybory, te właśnie stronnictwa miałyby za sobą dużą większość głosujących, a stronnictwa te reprezentują tę samą gamę politycznych idei, jaką znajdujemy w wielkiej części Europy".

Co się tyczy stanowiska Watykanu w sprawie formalnego uznania terenów na wschód od Odry i Nysy za przynależne do Polski, to niewątpliwie prawdą jest, że tempo Rzymu, dla którego dziesięć lat stanowi bardzo niewiele, jest w niezgodzie z gwałtownym tempem wydarzeń XX wieku. „Ale jest w tym zasada, że Stolica Apostolska, rozgraniczając jurysdykcje kościelne, nigdy nie uprzedza politycznych rozstrzygnięć konferencji pokojowych."

Odnośnie do zarzutów, że Stolica Apostolska w tych terytoriach nie mianowała biskupów ordynariuszy, „Tablet" stwierdza, że Watykan proponował zamianowanie polskich biskupów „in partibus", którzy administrowaliby tam Kościołem do chwili, kiedy nastąpi ostateczne wytyczenie granic nowych diecezji. „Informacja ta nie została nigdy ogłoszona w Polsce, choć jest znana gdzie indziej, tak że nie stanowi zgoła niespodzianki, że nie wzmiankowano o niej p. Grahamowi Greene, gdy był w Polsce."

W nacechowanych wielką życzliwością dla Polski rozważaniach „Tabletu" nieścisła jest tylko uwaga, jakoby Wrocław stanowił siedzibę niemieckiego biskupstwa od X w. począwszy i to uwaga bez zaznaczenia, że Śląsk był wówczas długi czas potem polski nie tylko politycznie, ale i etnicznie.

Reżymowi katolicy — konkluduje „Tablet" — mogą sugerować, że kardynał Prymas Polski będzie wypuszczony jeśliby Watykan był bardziej ustępliwy — ale jest prawdopodobne, że „bardziej pojednawcze stanowisko Rzymu miałoby skutki wręcz odwrotne, umacniając reżym i odbierając odwagę wiernym".

LISTY DO REDAKCJI

CZY MICKIEWICZ NIE NAUCZYŁ SWYCH DZIECI PO POLSKU?

Szanowny Panie Redaktorze,

W miesiącu grudniu, tuż po obchodach ku czci Adama Mickiewicza, dowiedzieliśmy się z łamów ŻYCIA, zdumiewającej rzeczy, która nikomu dotychczas nigdy w głowie nie postała — oto, że Adam Mickiewicz nie nauczył swych własnych dzieci języka ojczystego, tak że one nie mówiły po polsku! Oczom nie wierzę, gdy czytam w nrze 50 z 11.12.1955 w recenzji książki dla dzieci („O doskonałej rodzinie" Z. Kozarynowej: „O braciach kłótnikach i wesołej Basi"), podpisanej znanymi literami: J. B., że „dzieci największego poety polskiego i przywódcy narodu... dzieci Mickiewicza nie nauczyły się nawet mówić po polsku, choć mały Władzio popisywał się przed gośćmi, że jest ‚polskim emigrantem'."

Niezmiernie mi przykro stwierdzić, że sympatyczny i zawsze żwawy w sądach krytyk ŻYCIA J. B. popełnił w zacytowanym zdaniu dwa błędy i co gorsza, dotkliwe skrzywdził pamięć Adama Mickiewicza. Ostatecznie mniejsza o to, że ten popisujący się przed gośćmi synek Mickiewicza był to nie drugi z rzędu „Władzio", ale ostatnie, szóste, dziecko poety, Józio; nie do przemilczenia jest jednak zupełna niezgoda z faktycznym stanem rzeczy, co do języka dzieci Mickiewicza.

Otóż najstarsza córka Mickiewiczów Misia, późniejsza Maria Gorecka, całe życie mówiła po polsku, była przez dłuższy czas w Polsce i napisała znane wszystkim biografom poety „Wspomnienia o Adamie Mickiewiczu", oczywiście po polsku. Drugie z rzędu dziecko, Władysław, całe życie spędził na zbieraniu pamiątek i materiałów dotyczących twórczości i życia swego ojca, więc dokumentów w olbrzymiej większości spisanych po polsku, oprócz wielu prac francuskich, ogłosił w języku polskim czterotomowy „Żywot Adama Mickiewicza" (dwa wydania), bez którego nikt piszący o Mickiewiczu obejść się nie może. Trzecie z rzędu dziecko, Helena, późniejsza Hryniewiecka, również mówiła po polsku. I tak dalej, aż do najmłodszego „Józia" — wszystkie dzieci Adama Mickiewicza mówiły po polsku.

Znałem śp. Władysława Mickiewicza, w którego domu bywaliśmy dość często, znałem i śp. Józefa Mickiewicza i z nim także rozmawiałem po polsku, oczywiście też i córkę Władysławostwa, śp. Marię i wnuka poety śp. dr. Ludwika Goreckiego, z którym spędziłem długie godziny porządkując jego bibliotekę i odwiedzając go w Polsce; mogę więc własnym doświadczeniem poprzeć powyższe twierdzenie, że dzieci i wnuki Adama Mickiewicza mówiły najczystszą polszczyzną. (Jedynie dopiero prawnuk, syn dr. Ludwika Goreckiego, sfrancuział i nie mówi po polsku, ale to nie wina Adama Mickiewicza.)

Dziś, kiedy biografia Mickiewicza staje się powszechnie znana Polakom, pisarz polski nie może jej tak lekceważyć, by z jego od niechcenia rzuconych słów czytelnik mniej krytyczny mógł wyciągać wnioski krzywdzące pamięć Adama Mickiewicza. Już dość zamętu robią niepowołani, porywający się na sądzenie życia Mickiewicza.

Z prawdziwym poważaniem

(Paryż) Józef Andrzej Teslar

ODPOWIEDŹ

To dziwne. Nie znałem Władysława ani Józefa Mickiewiczów, ale znam kilka osób, które się stykały z obu braćmi. Wedle ich zgodnego zdania, Józef mówił po polsku z trudem i niepoprawnie, m. in. akcentując polskie wyrazy z francuska, na ostatniej zgłosce. Nie brał on żadnego udziału w życiu Polonii, a piastował urząd w Towarzystwie Dobroczynności miasta Paryża.

Władysław mówił nieporównanie lepiej, ale podobno jeszcze lepiej wyrażał swe myśli po francusku. Ukończył szkoły francuskie i zaczął karierę pisarską w języku francuskim, a mianowicie od artykułów w czasopiśmie „L'Espérance". W latach 1862-69 ogłosił szereg broszur w sprawie polskiej, po francusku. Monografia o Adamie Mickiewiczu jego pióra wyszła najpierw w języku francuskim (Paryż 1888), a dopiero potem, rozszerzona, w polskim (Poznań 1890-95). Czy aby tekst jej nie był przeglądany przed wydaniem przez przyjaciół Władysława Mickiewicza? Nikt nie odmawia polskości temu wielkiemu patriocie, niemniej osoby, które go znały, twierdzą, że miał pewne trudności z polszczyzną.

To samo dotyczy reszty rodzeństwa. Doskonale polszczyzną władała tylko najstarsza Mickiewiczówna — Maria, później Gorecka, chociaż listy pisywała do rodziców po francusku, a nawet (z Włoch) po... angielsku. Dobrze byłoby, gdyby Biblioteka Polska i Muzeum Mickiewicza w Paryżu wydały wreszcie listy do Mickiewicza. Są wśród nich zapewne listy dzieci. Mogłyby one rzucić właściwe światło na ich polszczyznę.

O Jasiu pisał poeta do Karoliny Towiańskiej dnia 26 maja 1853: „Jaś jest Francuz, spekulant i wielki gadacz". Jego to i Olesia, po śmierci żony, oddał poeta na wychowanie Francuzce, żonie historyka Henri Martin.

Nad czym tu załamywać ręce? Adam Mickiewicz pisał dnia 7 lipca 1850 do Ignacego Chodźki o synu Władysławie: „Ma on i zdolność i ochotę, ale czegoż tu uczyć? na adwokata? i jeszcze francuskiego? czy na spekulatora?" To była tylko zwyczajna tragedia emigrantów, których dzieci nie da się oderwać (a tak było wczoraj i tak jest dzisiaj) i izolować od obcego życia. Przecież dla ich dobra Adam Mickiewicz usilnie zabiegał o obywatelstwo francuskie.

Żwawo nie żwawo, ale trzeba to wreszcie zrozumieć.

J. B.

WIELKIE OSZUSTWO

Szanowny Panie Redaktorze!

Do instytucji, w której pracuję, przychodzi pewna ilość pism ukazujących się obecnie w Polsce. Ponieważ pracuję w bibliotece i archiwum, mam do tych pism dostęp. Przeglądam je i często czytam.

W związku z tymi doświadczeniami czytelnika pism wychodzących w Kraju, pragnę nawiązać do artykułu, który się ukazał w nr. 2 ŻYCIA z r. b. na pierwszej stronie, pt. „Poziom i argumenty". Wydaje mi się, że autor artykułu poruszył jedno z bardzo ważnych zagadnień obecnej taktyki reżymu komunistycznego w Polsce do emigrantów. Godzę się i na postawienie problemu i na wnioski.

Wydaje mi się tylko, iż artykuł jest za łagodny w stosunku do istniejącego stanu rzeczy i pomija jedno z najważniejszych zjawisk w sprawach, które porusza. Reżym komunistyczny czyni w tej chwili wielkie wysiłki, aby nawiązać dyskusję z emigracją. To oni proponują tę dyskusję, nie my. Proponują i napraszają się, czepiają się — nieproszeni — różnych okazji i różnych artykułów emigracyjnych. A następnie wymykają się tej dyskusji.

Znam setki artykułów i audycji radiowych z Kraju, poświęconych tym sprawom, ale nie spotkałem ani jednego wypadku prawdziwej dyskusji. Ta akcja nawiązania rozumowego zmagania się na argumenty, bezustannie inicjowana przez komunistów w Polsce, jest jednym wielkim oszustwem, jest humbugiem.

W artykułach swoich publicyści reżymowi stawiają wiele twierdzeń, zgłaszają wiele żądań. Następnie zachęcają do zajęcia się nimi przez emigrację. A gdy któreś z pism emigracyjnych zajmie się takim artykułem i jego treścią, gdy argumentom reżymowym przeciwstawi swoje własne argumenty i wątpliwości i postawi kilka pytań dodatkowych, następuje cisza, lub w najlepszym razie kubeł pomyj z zarzutami szpiegostwa, zdrady, wstecznictwa itp.

Czyż taki tryb postępowania może być nazwany dyskusją, wymianą poglądów? Jak większość rzeczy w postępowaniu komunistów, i ta nowa metoda „zbliżenia" jest tylko podrywką i kłamstwem.

Łączę wyrazy poważania.

Londyn, W. 14. St. Garwen

KLUCZ DO ZAGADKI ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI NAPOLEONA FELIKSA ŻABY

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 448 z dnia 8 stycznia ukazał się w ŻYCIU ciekawy i interesujący artykuł p. Tadeusza Ziarskiego pt. „Zagadka Napoleona Feliksa Żaby". Autor artykułu stwierdza m. in.: „Pewne szczegóły jego życia i działalności pozostają zagadką. Zagadką pozostają szczegóły jego „wygryzienia" w Szkocji." Przedtem autor podkreślił, iż „Napoleona Feliksa Żaby wśród otoczenia Czartoryskiego nie będzie".

Wyświetlenia tej zagadki należy szukać w polityce wewnętrznej Francji. Napoleon Żaba był związany z ruchem bonapartystycznym. Odegrał jedną z najgłówniejszych ról w spisku wiosennym w 1831 roku, kierowanym przez księcia Ludwika Napoleona, późniejszego cesarza. Nie był zresztą jedynym Polakiem uczestniczącym w ówczesnych przygotowaniach konspiracji napoleońskiej: należy tu wymienić między innymi Leonarda Chodźkę lub Józefa Grabińskiego.

Książę Adam Czartoryski, po przybyciu do Francji, starał się znaleźć oparcie dla swych poczynań u dworu orleańskiego i oficjalnej dyplomacji francuskiej. Nie mógł więc zgodzić się na kierownicze stanowisko Napoleona Żaby wśród emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Ten ostatni musiał więc odejść. Pozostał jeszcze przez pewien czas na wyspie, by tu poświęcić się działalności pisarskiej.

Łączę wyrazy poważania

Cork, Eire, Stanisław Bóbr-Tylingo

3 Dyke Parade

PROPAGANDA, CZY PRAWDZIWE UCZUCIA?

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z uczuciem przykrości i zażenowania czytałem wzmiankę „Propaganda niemiecka przy pomocy fotografii", umieszczoną na ostatniej stronie noworocznego numeru „Życia".

Autor wzmianki opatrzył cudzysłowem wyrażenia „stracony dom" i „owoc miłości", szydząc z uczuć, które chyba każdy Polak w ogólności, a wilnianin czy lwowianin w szczególności, powinien zrozumieć.

Ludzie, którzy album wydali, urodzili się, wzrośli na tej ziemi, którą on przedstawia. Czyż godzi się szydzić z tego, że oni tę ziemię kochają i za nią tęsknią?

Zechce Wielce Szanowny Pan Redaktor przyjąć zapewnienia mego szacunku

Adam Jarosiński

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 5 lutego 1956.

NASZE SPRAWY

O OGÓLNIEJSZE WYKSZTAŁCENIE

Już parę razy zabierałem głos na tym miejscu, przestrzegając naszą uczącą się młodzież, by nie poddawała się panującemu w szkołach angielskich prądowi jednostronnej specjalizacji, oraz rodziców, by troszczyli się o zrównoważenie jednostronności angielskiego wykształcenia szkolnego swoich dzieci przez danie im większego zasobu wiedzy humanistycznej, zwłaszcza w dziedzinie przedmiotów polskich. Artykuły moje w tej sprawie napotkały na protesty. Zarzucono mi, z grubsza, że powoduję się narodowym zaślepieniem i że niesłusznie uważam wzory polskie za lepsze od angielskich, podczas gdy wzory angielskie nie są złe i jeśli wystarczają dla młodzieży angielskiej, to mogą wystarczyć i dla naszej.

Odpowiedziałem już, że nie wszystko, co jest dobre dla Anglików, jest tym samym dobre i dla nas. Odpowiadałem także, że i sami Anglicy bynajmniej nie są dziś swoim szkolnictwem zachwyceni.

Chciałbym dziś powrócić do tego samego tematu, ograniczając się wyłącznie do ostatniego z wyżej wymienionych punktów. Pozwolę sobie zacytować tu parę głosów krytyki szkolnictwa angielskiego — zaczerpniętych z jednego tylko źródła, mianowicie z jednej tylko gazety: „The Daily Telegraph".

W numerze tego dziennika z dnia 4 października 1955 roku ukazał się artykulik pt. „Bad English of would-be doctors. Near illiteracy". (Zła angielszczyzna kandydatów na doktorów. Prawie niepiśmienność).

Główny ustęp artykułu brzmi jak następuje.

„Poziom angielszczyzny ujawniony w papierach egzaminacyjnych w czasie egzaminów wstępnych do Szkoły Medycznej Westminsterskiej Uniwersytetu Londyńskiego 'graniczy z niepiśmiennością' — oświadczył wczoraj p. H. E. Harding, dziekan tej uczelni.

Większość kandydatów osiągnęła mimo tego dobre wyniki w przedmiotach przyrodniczych (good scholarship standarts in the basic sciences). Raport p. Hardinga przedstawiony został na inauguracji roku akademickiego. P. Harding oświadczył, że nie widzi on przyszłości w zawodzie lekarskim dla kandydata, który nie umie wysławiać się w mowie i w piśmie i który nie pogłębił swego ogólnego wykształcenia rozległą lekturą. Jeśli idzie o tych, którzy obierają sobie jako zawód medycynę, szkoły powinny troszczyć się w jednakowym stopniu o danie im znajomości języka i literatury, co o nauki przyrodnicze.

Omawiając niski poziom angielszczyzny, ujawniony na egzaminach, p. Harding oświadczył: „uznaliśmy, że jest naszym obowiązkiem doręczyć papiery egzaminacyjne szkołom, z których kandydaci pochodzą, wraz z wyrażeniem naszej troski z powodu stwierdzonego stanu rzeczy".

W dalszym ciągu gazeta pisze:

„Urzędnik Związku Lekarzy Brytyjskich, komentując uwagi dr. Hardinga, oświadczył, że większość dziekanów wydziałów lekarskich oceniłaby tych kandydatów tak samo. Niektórzy ludzie chcą zostać lekarzami, nie mając pojęcia, do jakiego stopnia potrzebne im jest wykształcenie ogólne.

„P. W. F. Gunn, sekretarz Szkoły Lekarskiej Szpitalnej Kings College, powiedział: „Liczba kandydatów, którzy piszą słowo „literature" przez dwa „t", jest zadziwiająco duża..."

„W świeżym raporcie, opracowanym przez podkomitet, powołany do rozważenia sprawy wymagań, stawianych kandydatom do studiów uniwersyteckich, pięciu członków dało wyraz swej trosce z powodu niskiego poziomu zastosowania i rozumienia angielszczyzny u niektórych studentów".

To jest jeden z omawianych artykułów w „The Daily Telegraph".

Drugi ukazał się w numerze z dnia 17 stycznia br. Jest to wielki artykuł pt. „Pełni ludzie, czy też pół-ludzie?" Autorem jest Nicholas Bagnall.

Artykuł ten zawiera jako motto słowa następujące: „Hasłem jest: więcej specjalistów fizyków; i szkoły muszą ich dostarczyć. Ale nauczyciele mają także obowiązek dać swoim uczniom wykształcenie ogólne i liberalne. Czy mogą zrobić obie rzeczy na raz?"

Artykuł jest zbyt obszerny, bym mógł główne jego myśli podać w całości, toteż tych, co się interesują sprawą wychowania naszej młodzieży w szkołach angielskich odsyłam do artykułu tego w oryginale.

Ujmując wywody tego artykułu w streszczeniu, powiem ogólnie, że zdaniem autora szkolnictwo średnie angielskie jest zrewolucjonizowane przez napór zapotrzebowania na specjalistów fizyków i chemików. Przemysł angielski potrzebuje ich niezmiernie wielu, toteż postulat produkowania ich w sposób masowy odbija się i na programach egzaminów uniwersyteckich, i na programach szkolnych, i na nastawieniu dyrektorów szkół i na postawie młodzieży. Autor uważa, że trzeba sprawę kształcenia tych specjalistów od sprawy normalnych zadań gimnazjów i uniwersytetów oddzielić. „Wielkie szkoły techniczne... powinny być natychmiast założone... Dopóki to się nie stanie, zarówno gimnazja, jak uniwersytety są w niebezpieczeństwie stania się zakładami forsownego ćwiczenia technologów (technological forcing-houses)".

Autor pisze, że obecny system zmusza niedojrzałe umysły do przedwczesnej specjalizacji i pozbawia wykształcenia ogólnego tych, co obierają kierunek matematyczno - przyrodniczy. Powiada on, że do piątej klasy rozwój uczniów jest równomierny. Ale w szóstej klasie (angielskiej, tj. „six-form") skutki specjalizacji zaczynają się ujawniać. „Po upływie mniej niż roku w szóstej klasie humaniści zaczynają się już wysławiać w sposób giętki i precyzyjny i pokazywać w swojej pracy wyobraźnię i sąd. Przyrodnicy w tym samym wieku są w dalszym ciągu, praktycznie biorąc, pozbawieni mowy (inarticulate)".

Autor zastanawia się nad drogami naprawy szkolnictwa angielskiego i stwierdza:

„Być może byłoby lepiej zreformować maturę (General Certificate) w sposób całkowicie odmienny. We Francji i we Włoszech jest rzeczą uznaną, że dojrzałość umysłowa, potrzebna do tego, by chłopiec mógł obrać sobie specjalność, przychodzi stosunkowo późno. Wszystkie końcowe egzaminy na włoskim uniwersytecie zawierają egzamin z języka włoskiego. Ja zadaję sobie pytanie, jaki wpływ miałby końcowy egzamin uniwersytecki z Szekspira na poziom angielskich absolwentów na wydziałach przyrodniczych.

„Dobry przyrodnik (scientist) uczy się francuskiego, lub greki, bo to mu dopomoże stać się lepszym przyrodnikiem... Chłopiec, który rzucił studia humanistyczne mając lat 16 czy 17, nie ma widoków po temu, by zdobywać się na syntezy, wymagające wyobraźni.

„Francuski chłopiec osiemnastoletni, zdający „baccalauréat" (maturę) musi ją zdawać z dziewięciu przedmiotów, wśród których są trzy języki, zarówno jak ustny egzamin z przyrody, fizyki i chemii na poziomie raczej niższym, niż poziom papierów „A" w tym kraju.

„Myśl wprowadzenia „baccalauréat" (matury kontynentalnej), wysuwana w tym kraju przez dr. R. C. Carringtona, dyrektora szkoły św. Olafa w Southwark, mierzy być może za wysoko. Ale... system francuski byłby przynajmniej uznaniem rozsądku obarczania stosunkowo niedojrzałych szóstoklasistów pracą wysoce wyspecjalizowaną i wysoko postawioną, która jest właściwie zadaniem uniwersytetów... Szerszy zakres przedmiotów na poziomie nie tak wysokim byłby jedną odpowiedzią."

Tych kilka cytatów powinno wystarczyć, by wykazać, że troski i wątpliwości niektórych pedagogów angielskich idą po tej samej linii, co troski, którym — ku protestom i drwinom tych i owych spośród czytelników — dawano już wyraz na tych szpaltach.

Czytelnicy ci nie rozumieją jednej rzeczy: że kształcenie wykwalifikowanych specjalistów dla przemysłu, a kształcenie elity umysłowej, to są dwie różne rzeczy. Oczywiście, nikt nie kwestionuje wagi sprawy kształcenia specjalistów-technologów. Jest to sprawa ważna dla Anglii i jest to również sprawa wielkiej wagi dla Polski. Jest rzeczą bardzo wskazaną, by liczne zastępy naszej młodzieży stały się takimi specjalistami. Mieszkając w Anglii, będą one lepiej zarabiać, a powróciwszy kiedyś do Polski, będą cenną kadrą dla przemysłu polskiego, cenną zwłaszcza przez to, że przywiozą ze sobą znajomość wielu metod, w Polsce nieznanych.

Ale nie wolno zapominać, że specjalista, który nie posiadł także i wykształcenia ogólnego i wskutek tego nie zdobył dostatecznych kwalifikacji umysłowych do poważniejszego awansu w hierarchii swojego własnego zawodu, jest tylko rzemieślnikiem. Rzemiosło jego jest wysoce kwalifikowane, wymaga znajomości wyższej matematyki, fizyki, chemii i wielu umiejętności praktycznych. Nabyte zostało wysiłkiem wielu lat. Ale czy dobry elektromonter albo dobry zegarmistrz czy złotnik też nie muszą mieć wcale sporej wiedzy i ogromnego, wielu latami nabytego doświadczenia? Podniosła się dziś technika, toteż wydłużyła się ilość lat, potrzebnych na kształcenie dzisiejszego rzemieślnika.

Obyśmy mieli jak najwięcej rzemieślników — i dobrych. Ale nie zapominajmy, że w normalnym społeczeństwie sami rzemieślnicy nie wystarczają.

Polacy wyjechali na emigrację jako społeczeństwo zróżniczkowane. Mieliśmy na emigracji, i dotąd mamy ludzi, którzy w Polsce byli profesorami uniwersytetu, ambasadorami, ministrami skarbu, literatami, dyrektorami banków, gimnazjów, teatrów, kopalń, fabryk, budowniczymi kościołów, dowódcami pułków i dywizji. Dzisiaj — rośnie na emigracji pokolenie, które z Polski wyjechało małymi dziećmi, a zaczyna chodzić do szkół pokolenie już na emigracji urodzone. Kim ono będzie? Kogo ono z siebie wyda?

Jest rzeczą jasną, że nie całe może ono mieć warunki do społecznego awansu. Byłoby jednak źle, gdyby nie przekroczyło ono w swym awansie życiowym rangi wykwalifikowanych rzemieśników — całe. Bo to by oznaczało, że w drugim pokoleniu ogólny poziom emigracji, a więc także i jej wartość polityczna i kulturalna, się obniżyły.

Tu nie o to chodzi, by synowie profesorów uniwersytetu także zostali profesorami uniwersytetu. Profesorem uniwersytetu może zostać syn gajowego, a rzemieślnikiem syn profesora uniwersytetu. Ale obyśmy profesorów uniwersytetu mieli — w ogóle!

I nie pocieszajmy się faktem, że wielu młodych Polaków robi na emigracji kariery naukowe, intelektualne, artystyczne. To nie jest pokolenie najmłodsze! To jest pokolenie, które otrzymało wykształcenie ogólne w szkolnictwie polskim. A szkolnictwo polskie, choć od czasu reform jędrzejowiczowskich, które usiłowały zbliżyć je swoją strukturą do opartego na specjalizacji systemu anglosaskiego, dość silnie odeszło od kontynentalnych pojęć o wykształceniu ogólnym i już nie dorównywało poziomem szkolnictwu francuskiemu, czy niemieckiemu, było wciąż jeszcze, siłą rozpędu i tradycji, szkolnictwem o ogólnym poziomie dość rozległym i wysokim.

Ale zaczynają już zdawać maturę młodzi Polacy i Polki, którzy się o polskie szkoły w ogóle nie otarli.

Nie martwmy się młodzieżą angielską. Społeczeństwo angielskie rozwiąże sobie bez trudu swoje problemy i zapewni sobie dopływ dostatecznie licznego, gruntownie wykształconego narybku dla swej umysłowej, kulturalnej i politycznej elity. Ale my nie jesteśmy wśród angielskiej elity. My się w najlepszym razie borykamy o dotrzymanie kroku angielskiej skromnej warstwie średniej. I grozi nam niebezpieczeństwo, że — nie jako jednostki, ale jako zbiorowość — zostaniemy stopniowo zepchnięci w dół.

Jeśli nie chcemy do tego dopuścić, musimy się troszczyć o ogólne wykształcenie naszej młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej. Musi się o to troszczyć społeczeństwo, muszą się o to troszczyć rodzice i musi się o to troszczyć sama młodzież.

POLONUS

ZJAZD DZIENNIKARZY

W dnu 14 stycznia br. odbył się w Londynie doroczny zjazd walny Związku Dziennikarzy R. P. z licznym udziałem członków oraz delegatów Syndykatów spoza Wielkiej Brytanii. Po nabożeństwie, które za dusze zmarłych dziennikarzy polskich odprawił w Brompton Oratory ks. A. Finc, odbyło się w sali „Ogniska Polskiego" otwarcie zjazdu, którego dokonał wiceprezes L. Rubel w zastępstwie przebywającego na stałe w Stanach Zjednoczonych prezesa B. Wierzbiańskiego. Na przewodniczącego zjazd powołał swego seniora i honorowego członka Związku Z. Nowakowskiego, do prezydium: R. Wragę z Paryża i E. Romiszewskiego z Monachium, a na sekretarza J. Hetmana z Walii. Przewodniczący na wstępie uczcił wspomnieniem zmarłych w ostatnim roku członków Związku: ś. p. prof. Stanisława Strońskiego, Wł. Pańczaka, H. Tyszyńskiego i T. Kossaka oraz przypomniał zasługi ś. p. L. Bauer-Czarnomskiego na placówce prasowej przy ambasadzie R. P. w Londynie.

Imieniem ustępujących władz Związku sprawozdania złożyli: L. Rubel, Z. Kotkowski, A. Dargas i M. Obarski. O pracy Syndykatów Dziennikarzy Polskich we Francji i w Niemczech i o położeniu materialnym ich członków mówili delegaci tych Syndykatów: Wraga i Romiszewski. W dyskusji nad sprawozdaniami podkreślono m. in. szczególnie ciężkie warunki materialne dziennikarzy polskich w Paryżu. Z uznaniem podniesiono też w dyskusji ciężką walkę, jaką od szeregu lat toczy na terenie Niemiec o utrzymanie tam jedynej polskiej niezależnej placówki prasowej Czesław Tarnowski, wydawca i redaktor tygodnika „Polak" w Quakenbrück i skierowano do nowego zarządu dezyderat, aby starał się zapobiec likwidacji tego pisma.

Po udzieleniu ustępującym władzom absolutorium, obecni wysłuchali interesującego referatu A. Dargasa na temat „Prasa wobec akcji „repatriacyjnej", po którym toczyła się ożywiona dyskusja wnosząc wiele nowego materiału do tego żywotnego zagadnienia.

Z kolei odbyły się wybory do nowych władz Związku. Prezesem Związku wybrano L. Rubla, a do wydziału wykonawczego: A. Bregmana, A. Ciołkosza, J. Czaharskiego, St. Grocholskiego, P. Hęciaka, Z. Kotkowskiego, R. Piestrzyńskiego, J. Radomyskiego, Z. Racięskiego, Z. Stahla, Z. Stermińskiego, W. Wasiutyńskiego, R. Zakrzewskiego i D. Żarnowskiego. Ponadto do wydziału wykonawczego wchodzą jako delegaci W. Sikorski ze Szkocji i J. Hetman z Walii.

Do komisji rewizyjnej zostali wybrani: A. Dargas, J. Iwańska (Paryż), S. Lis, M. Męcińska, E. Mieroszewska (Nowy Jork) i P. Zaremba. Do sądu koleżeńskiego weszli: T. Horko, M. Kasterska (Paryż), S. Mękarski, M. Obarski, T. Terlecki, T. Zawadzki.

Uczestnicy zjazdu przesłali red. Bolesławowi Wierzbiańskiemu podziękowanie za jego długoletnią pracę na stanowisku prezesa Związku. B. prezesom związku: A. Bogusławskiemu, który nadesłał swe życzenia oraz choremu M. Ścieżyńskiemu przesłano serdeczne pozdrowienia od zjazdu.

Zjazd zwrócił się do wolnej prasy polskiej z apelem, aby przez poparcie akcji Skarbu Narodowego Zjednoczenia umożliwiła jego reprezentacji politycznej spełnienie jej zadań.

NOTATKI

PISANIE o sobie, to tak samo dobry temat jak pisanie o Napoleonie czy o kosmosie. Pisanie atoli o sobie z każdej racji, bez względu na temat, to brzydka przywara. Stopień nasycenia „sobą" utworów literackich świadczy poza tym o starości. Roztwór nasycony własnym ja, to zwykle koniec pisarskiej kariery. Starzy pisarze, a także plastycy i aktorzy, mówią tylko o sobie. Zdarza się to jednak także młodym.

„Wiadomości" wydały na gwiazdkę wspaniały, 24-stronicowy numer, ozdobiony 130 ilustracjami. Połowę numeru, 12 stron, wypełniły wspominki pisarzy z okazji 30-lecia pisma. Pomysł słuszny. Nikt nie zaprzeczy, że „Wiadomości" były głównym wyrazem kultury literackiej w Polsce zarówno w okresie niepodległości, jak i potem, na emigracji, aż po dziś.

Jednakże na 38 autorów, którzy plotą listki do jubileuszowego wianka, tylko prof. Stanisław Stroński i Stefania Zahorska nie napisali wspomnień o sobie i swoim znaczeniu w dziejach kultury ojczystej, nie licząc kilku listów, dwu dowcipnych wierszyków (ks. Kantaka po łacinie i K. Morawskiego) oraz paru krótkich wypowiedzi, szczególnie cudzoziemców (C. Backvis, R. Bailly, F. A. Voigt). Reszta, to znaczy prawie wszyscy, pochwycili skwapliwie okazję, aby wypiąć dumne piersi i zapiać kukuryku na własną chwałę.

Oto próbki: „W jakieś siedem lat potem Grydzewski dał mi do wyczyszczenia pastisze Nowaczyńskiego"; „Wracając do domu po nocy postanowiłem zostać wywoływanym przed kurtynę autorem"; „Zacząłem również marzyć potajemnie o zobaczeniu w 'Wiadomościach' kiedyś własnego nazwiska"; „Któregoś dnia wstąpiłem do dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej"; „Z dumą odczytuję w roczniku 1927 mój artykuł"; „Po raz pierwszy moje nazwisko pojawiło się w 'Wiadomościach Literackich' w r. 1929"; „Wszedłem już na pierwszą stronę mając lat ledwo dwadzieścia i parę"; „Już w trzecim głosowaniu książka moja uzyskała jednak absolutną większość"; „Miałem za sobą wówczas już kilka książek i niezłe nazwisko literackie"; „Buzułuk był zresztą dla mnie kontynuacją sowieckiego koszmaru"; „Wszystkie moje kasztany to tych kilka opowiadań"; „Napisałam list do Grydza i posłałam wszystkie wiersze" — i tak dalej w tym duchu.

Ja, mnie, o mnie, wołając: o ja! Mój, moja, moje.

*

OBIAD LITERACKI Związku Pisarzy ku czci gen. Mariana Kukiela gastronomicznie był wyborny. Gospodarz restauracji SPK chyba dołożył, jeśli nie do potraw, to na pewno do wina.

Strawa duchowa była mieszana. Obok mądrej prelekcji Generała o konieczności szacunku pisarzy dla tradycji kulturalnych i miłej gawędy Zygmunta Nowakowskiego, wygłoszono także kilka mniej dbale przygotowanych przemówień. Jeden z mówców nie cofnął się przed wysypaniem na stół swych urazów wojskowych. W sam raz okazja.

Było dość wesoło. Lecz są różne odmiany wesołości: od szczęścia po czarny smutek. Wesołość pisarzy emigracyjnych jest koloru jakby to powiedział Pankowski, adwentowofiołkowego.

*

STARA TO PRAWDA, że wielu pisarzy najchętniej pisze przeciw komuś albo przeciw czemuś. Jeśli nie mają pod ręką przeciwnika, wymyślają sobie kukłę i jak kawalerzyści na ćwiczeniach atakują ją lancą. Właśnie „Londyńczyk" z „Kultury" aby pochwalić książkę pt. „Mickiewicz żywy", za kukłę obrał sobie książki „Veritasu".

„Mówiąc o tej książce — pisze — należy podkreślić piękną oprawę graficzną Zygmunta Turkiewicza, doskonały papier i wzorowy druk. Ten ostatni szczegół uderza czytelnika, ponieważ polskie książki wydane w Londynie pod względem technicznym pozostawiają bardzo wiele do życzenia. W 'Mickiewiczu' jest dużo świateł, bogate marginesy, nasilenie farby drukarskiej idealnie równe, piękna czcionka, korekta bezbłędna. Równie wysoki poziom technicznej staranności niestety jest u nas rzadkością.

„Leży przede mną 'W oczach Zachodu' Conrada w przekładzie Wita Tarnawskiego, nakład Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas. Obwoluta T. Piotrowskiego — kompozycyjnie przeładowana, w kolorze brudna. Druk książki nierówny — jakby przy odbijaniu pewnych stron żałowano farby. Marginesy oszczędne — powiedziałbym — 'wojenne'. Nie może być żadnego porównania — jeśli chodzi o poziom technicznego wykonania pomiędzy 'Mickiewiczem' a 'W oczach Zachodu' ".

Po cóż więc porównywać?

Porównanie jest istotnie naciągane, demagogiczne, krzywdzące. Ale po porządku.

„Mickiewicz żywy" jest istotnie książką udaną, mimo wszelkich wad technicznych. Zwłaszcza piękne są rysunki Zygmunta Turkiewicza. Co prawda, Londyńczyk miał wyjątkowe szczęście otrzymując egzemplarz z „nasileniem farby drukarskiej idealnie równym". Bo autor tych słów dostał gorszy egzemplarz. A może i Londyńczyk przesadził? Radziłbym jeszcze raz przyjrzeć się wierszom (strony 9-11, 50-51, 66, 223), gdzie pełno „sęków" (nierówno tłoczonych linij); pod nazwiskiem K. Wierzyńskiego (str. 50) wylazł szteg; natężenie farby w egzemplarzu niżej podpisanego jest „idealnie" nierówne. Np. strony 14, 15 są aż czarne, 18, 19 bledziutkie. W falcowaniu usterki: strony 20, 21 są węższe od reszty; strony 177-184 brudne i zmięte (w egzemplarzu niżej podpisanego).

To wszystko są, oczywiście, usterki trudno dostrzegalne dla laika i w niczym nie umniejszają zasługi i wysiłku wydawcy. Ale jeśli kto struga znawcę, niechże nie uprawia demagogii. Niestety, z tym znawstwem drukarstwa u Londyńczyka krucho. Bo jakże można mówić, że papier w „Mickiewiczu żywym" jest „doskonały", przeciwstawiając go książce „W oczach Zachodu"? Niechże Londyńczyk jeszcze raz przyjrzy się uważnie i sprawdzi, że ten „doskonały papier" przebija druk na drugą stronę. Papier w „Mickiewiczu żywym" nie jest bowiem „doskonały", ale przeciwnie, oszczędny. Natomiast papier „W oczach Zachodu" („Antique Wove") jest niewątpliwie lepszy („nieprzebijający").

Czy obwoluta „W oczach Zachodu' jest „kompozycyjnie przeładowana" i w „kolorze brudna", to rzecz gustu. W każdym razie autorem jej jest jeden z najwybitniejszych grafików polskich, o międzynarodowym nazwisku: Tadeusz Piotrowski.

„W oczach Zachodu" nie jest książką doskonałą i ma liczne braki: i druk drobny, i oszczędne marginesy, i nierówny tłok. Owszem. Ale tylko takim sposobem można wydawać książki na emigracji, o czym zresztą wiedzieć powinien korespondent „Kultury" i tłumacz najbrzydziej wydanego tomu „Biblioteki Kultury", a także i redakcja „Kultury".

„Mickiewicz żywy" posiada stron 238, Conrad 290., „Mickiewicz" drukowany jest na średniej wartości papierze, Conrad na lepszym, „Mickiewicz" ma kartonową okładkę i jednobarwną obwolutę, Conrad płócienną okładkę i wielobarwną obwolutę. „Mickiewicza" opracowali autorzy bezpłatnie, wydanie Conrada pochłonęło honoraria: a) tłumacza, b) przepisywacza na maszynie, c) adiustatora, d) korektora. Mimo to „Mickiewicz" kosztuje w handlu 17/6, a Conrad 15/-, w subskrypcji zaś kosztował tylko 8/6. Wreszcie „Mickiewicz" jest wydawnictwem pamiątkowym i albumowym, natomiast „W oczach Zachodu" zwykłą książką. Jeśli Londyńczyk chce koniecznie porównywać czcionki, światła, marginesy i ilustracje, niech łaskawie obejrzy nasz „Rok polski" i wtedy dopiero wydaje wyroki. Gdyby „W oczach Zachodu" wydrukować „piękną czcionką" i z dużymi marginesami, objętość tomu musiałaby być podwójna. I kto by za to zapłacił?

Metodą „przeciw komuś" Londyńczyk i jego pismo nie przysłużą się — naszym zdaniem — wydawcy „Mickiewicza żywego", ale mogą wyrządzić szkodę innym wydawcom, a wśród nich i sobie samym.

*

O pięknej książce „Mickiewicz żywy" ŻYCIE zamieści osobną recenzję.

J. B.

CZY WIESZ O TYM, ŻE w śródmieściu Londynu istnieje już Polska Parafia?

Jeśli więc mieszkasz w centralnych dzielnicach Londynu, poczuwaj się do obowiązku zgłosić się na członka Parafii i jeszcze dziś wyślij swoje oraz rodziny zgłoszenie do:

Polisch Church Committee — Central London — 21 Earls Court Square. London, S.W.5.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. WPŁATY a) w krajach bloku szterlingowego: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) w krajach bloku dolarowego: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego: c) we wszystkich innych krajach: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: „Libreria Polaca", Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. AUSTRALIA: „Vistula" (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz „Społem", 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Mme E. Kułakowska, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa „Acao", Av. Batel 1514. Curitiba, Parana. Książnica Polska, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, ks. dr Antoni Łatka, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i Mons. W. J. Słapa, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: ks K. Stolarek, OMI, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.). CC 3 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. HOLANDIA: B. Galas, Pagelstraat 15A, Breda. KANADA: Canadian Mosaic Publishers, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. International Book Service, 57, Queen Str. W., Toronto. NIEMCY: St. Mikiciuk, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 oraz „Informacja Prasowa", Postfach 86, (23) Quakenbrück. Prenumerata kwart. 8 RM. NORWEGIA: B. Łubiński, Kongesgat 2, Moss. STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication", 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., Mme J. Stojanowska, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz „Pomoc" — Eksport - Import, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. SZWECJA: Mgr. B. Kurowski, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.